Nr. 41. Poznań, Niedziela 7-go Października 1900 r. Rok IV.



*Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie 1 **markę**; na poczcie w Austro-Węgrzech **59 cent.** Pod **opaską**: w Niemczech **1,65 mr.**, w Austro-Węgrzech **1 ztr.**, za Oceanem **1 dolar**.*

Redakcya i Administracya „Pracy“ znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr 295.

W końcu bieżącego miesiąca rozpoczniemy druk oryginalnie na zamówienie „Pracy“ napisanej powieści p. t.:

„Przez ciernie i głogi.“

Autorem jest **Dr. Kazimierz Rakowski,** dawny redaktor naczelny naszego pisma, autor cenionego dzieła o powstaniu poznańskiem, jak niemniej odznaczonego na konkursie krajowym dramatu.

Powieść **„Przez ciernie i głogi“** zainteresować musi każdego, w niej bowiem zamierza autor, tak dobrze obeznany z naszem politycznem życiem i po dziś dzień czynny w niem biorąc udział, odzwierciadlić nasze walki polityczne o utrzymanie naszej narodowości. Będzie to więc **powieść polityczna,** do której dostarczą wątka wypadki ostatnich czasów. Ujrzymy w niej rozkładową robotę komisyi kolonizacyjnej, i znieprawienie jednostek — i młodzież rwącą się do życia — i nędzę ekonomiczną, która trapi rzemieślnika — i postacie z rozmaitych warstw na wychodźtwie.

„Przez ciernie i głogi“ — to historya młodego syna obywatelskiego, który, będąc niejako wyobrazicielem starych naszych społecznych stosunków, zmuszony jest szukać kawałka chleba wśród obcych, a tam, przeszedłszy cały szereg prób, na jakie los wystawia człowieka, wraca do kraju wyszedłszy z nich zwycięzko, — wraca przetrawiony, przekształcony, silny i pewny, aby jako wyobraziciel nowego pokolenia stanąć przy sztandarze narodowym — i zwyciężać.

Przez te „ciernie i głogi“ przejdzie z czasem całe nasze społeczeństwo.



Do Czytelników.

Wśród rozmaitych przeciwieństw i przykrości, jakich nam nasz zawód nie szczędzi, jedna myśl, jedna nadzieja była i jest dla nas zawsze pociechą i pobudką do dalszych wysiłków, — a myślą tą jest przeświadczenie, że zacieśnia się coraz bardziej serdeczny węzeł, łączący „Pracę“ z jej Czytelnikami.

I to przeświadczenie, wzmagające się z kwartału na kwartał, z roku na rok, poparte setkami listów tak nam miłych a serdecznych od wszystkich Czytelników naszych, bez różnicy ich stanowiska społecznego i towarzyskiego, — to przeświadczenie miłym czyni nam nasz obowiązek dziennikarski zaproszenia do przedpłaty na początku nowej ćwierci roku. Miło jest kreślić nam te słowa, tak jak miło jest pisać list do przyjaciela z serdecznem zapytaniem: co słychać, jak się masz, dajże nam o sobie znak życia.

Tak samo i my, zwracając się w pewnych okresach czasu do Czytelników w niejako osobistych wynurzeniach, oczekujemy od nich, że dadzą nam znak życia o sobie w postaci zwiększonej agitacyi za naszem pismem.

Stanowimy wraz z Czytelnikami jakby grono serdecznych przyjaciół, związanych wspólnością dążeń; stanowimy wraz z nimi jakby klub polityczny, w którym szeroko i dokładnie się roztrząsa bieżące sprawy polityczne, aby się ludziom robiło w głowach jasno, i aby w ten sposób coraz jaśniejszą stawała się przyszłość narodu naszego.

A że celem tego naszego niby klubu politycznego jest tę jasność szerzyć jaknajbardziej, więc każdy z należących już do grona powinien nowego przyprowadzić słuchacza, aby nasza praca posuwała się wciąż naprzód i coraz szersze obejmowała pole.

„Praca“ powoli staje się organem, który wśród wychodźców naszych w Niemczech odgrywa rolę łącznika pomiędzy obczyzną i krajem. Niechaj przyjaciele nasi pamiętają o tem, że popierając na obczyźnie „Pracę“, popierają tem samem sprawę utrzymania narodowości naszej wśród wychodźców. My o doniosłości tego zadania naszego pamiętamy zawsze

i wedle sił staramy się mu odpowiedzieć. Przyjaciele nasi niech nam też werbują zwolenników wśród młodzieży dorastającej wszystkich warstw. **„Kto ma za sobą młodzież — ten ma za sobą przyszłość.“** *W myśl tego słowa powinniśmy wszyscy dołożyć usiłowań, aby zjednać młodzież i przyciągnąć ją pod sztandar narodowy, bo w ten sposób budujemy fundamenty przyszłości.*

Zarówno nasza młodzież rzemieślnicza, miejska, jak i włościańska, a niemniej młodzież ze sfer inteligentnych, gimnazyalna, zaczęsto zapomina, że z czasem ona będzie stała na straży narodowości.

Budźmy ją zatem, wskazujmy cele, do których rozpromieniały się serca minionych pokoleń.

Wreszcie słówko o naszym politycznym programie. W ostatnim czasie w kilku zasadniczych naszych artykułach padło słowo: **radykalna polityka,** *jako określające programowo dążności nasze. Słowo to powtarzać się będzie jeszcze nieraz i treścią politycznych artykułów naszych przyszłego kwartału będzie rozwijanie programu radykalnej polityki polskiej wobec Prusaków na tle bieżących spraw, jakie nasuwać się będą.*

Tu zatem poświęcimy tylko kilka zasadniczych uwag tej polityce.

Polityka radykalna, jak my ją pojmujemy, opiera się na przekonaniu, że dla Prusaków obojętnem jest zupełnie to, co my czynimy, myślimy i czujemy, o ile te czyny nasze zawierają się w granicach konstytucyjnych praw naszych; czy będziemy energicznie lud uświadamiali, czy też słali najpoddanniejsze petycye do tronu — to wszystko dla nich jedno: oni uważają nas niejako za rzecz, za swoją własność, którą chcą na swą germańską modłę przerobić — i ani nasze skargi, ani nasza uniżoność, ani nasza nienawiść do nich z tej drogi ich nie sprowadzi. A zatem: **w naszych czynach i słowach bądźmy otwarci, nie zważajmy na to, czy ich co gniewa i drażni, czy nie, — bądźmy sobą, dążmy do rozkołysania mas, do wzbudzenia ducha narodowego.** **„Praca.“**

Wiec w Gnieźnie.

W szeregu wieców już urządzonych, jako i tych, które dopiero są w przygotowaniu, wiec gnieźnieński niewątpliwie zajmie jedno z pierwszych miejsc jako taki, który w stanowczej formie dał bezwarunkowy wyraz uczuciom, przejmującym serce Polaka na widok pogwałcenia praw naszych narodowych.

Jak nam korespondenci zgodnie donoszą, wiec udał się pod każdym względem świetnie. Komitet urządzający, wraz z redaktorem miejscowego organu polskiego, p. Palińskim, dali dużo dowodów energii i organizacyjnego zmysłu, przygotowawszy tak jednomyślny a poważny wyraz uczuciom, któremi są przejęte wszystkie klasy ludności.

Życzyćby tylko należało, aby podobne wiece, wybornie oddziaływujące na podniesienie ducha narodowego, odbywały się choć raz do roku, pod przewodnictwem zawsze tych samych wytrawnych kierowników.

Lecz przejdźmy do opisu przebiegu samego wieca.

Długo przed oznaczonym czasem, dnia 23go września, w niedzielę, napełniła się sala słuchaczami ze wszystkich warstw naszego społeczeństwa, a chórek był szczelnie zajęty matkami polskiemi. Nawet z dalszych okolic przybyli wieśniacy i mieszczanie na wiec: od Wągrówca, z Janówca, Witkowa, a nawet z odległej Bydgoszczy przybyło kilku mieszczan, aby się przysłuchać obradom. Wielka sala w hotelu europejskim, która podczas wieca na pamiątkę obchodu 900-letniej rocznicy założenia metropolii gnieźnieńskiej, w dzień św. Wojciecha, w okolicy wejścia trochę pustką świeciła, tym razem zajęta była aż do ostatniego miejsca, tak samo chórek, przepełniony płcią słabą.

Zagaił zebranie sędziwy ks. radzca Stefański, proboszcz od św. Wawrzyńca, i przedstawił zebranym na przewodniczącego radzcę p. Theuricha. Ten z podziękowaniem przyjmuje wybór i prosi do pióra pp. Janowskiego i Antoniego Smieleckiego. Na ławników zaś powołuje pp. X. profesora Maryańskiego, Pomorskiego z Winiar, Jana Wierzbińskiego, Krupskiego, Tabaczkę z Kawior, Sliwińskiego, Koczorowskiego, dr. Gantkowskiego i aptekarza Ostena z Witkowa. Mówców było czterech: ks. Piotrowicz, proboszcz od św. Trójcy, zaszczycony przez królewski rząd niedawno tem, że mu odebrano nadzór nad nauką religii bez podania żadnego powodu, p. Piotr Paliński, redaktor „Lecha“, kupiec tutejszy, p. Zygmunt Gieburowski, a w końcu szanowny i zasłużony nasz pisarz, p. Józef Chociszewski, którego wiek późny nie odwiódł od zabrania głosu w sprawie publicznej.

Pierwszy z mówców, ksiądz Piotrowicz, w sposób nader poglądowy a przykuwający uwagę słuchaczów, wyjaśnił stosunek rządu do religii w szkole, wykazał wszystkie bezprawne uroszczenia i nieproszoną opiekę, jaką by chcieli rozwinąć nad nami hakatyści; czerpiąc z bogatego zasobu swych osobistych doświadczeń, mówca przytoczył liczne uderzające przykłady krzywd, jakie się nam dzieją, a na jakie my nie możemy dać innej odpowiedzi, jak tylko drogą samopomocy i wzajemnego wspierania się wzmacniać ducha i szerzyć poczucie narodowości w młodszem pokoleniu.

Z mowy ks. Piotrowicza przytaczamy poniżej ustęp zawierający jeden właśnie z takich epizodów, które bez komentarzy illustrują wystarczająco nasze położenie.

Dobrą illustracyę położenia wiary naszej i Kościoła w naszem Księztwie jest sprawa szkoły w Obórce. Tam wykład był aż do października przeszłego roku polski w religii dla dzieci katolickich. Prawda, że i to było okrutnie po macoszemu traktowane. Oto w szkole w Obórce jest tylko 12 dzieci katolickich, które muszą uczęszczać do szkoły protestanckiej; nauczyciel tam jest tylko jeden protestant, a nauki religii katolickiej udziela dochodzący nauczyciel z Mącznik. Udzielaną więc bywa w środy i w soboty po południu po dwie godziny. Z tego powodu dzieci przychodzące do mnie na naukę spowiedzi faktycznie przez całe te dwa lata nie znają wcale nauki religii w szkole. To też pewne dziewczątko — rząd je zna, bom pisał w tej sprawie do władz — trzynastoletnie, a więc takie, które za rok miało opuścić szkołę, a za kilka lat później miało być uczciwą i sumienną mężatką i matką, to dziecko nie wiedziało, ile jest osób w Bóstwie, nie wiedziało, jak się nazywają. Chciano potem winę zwalić na brak zdolności. Ależ Panowie, to dziecko jednak nie mogło być pozbawione zdolności, skoro mogło dostać się do 3-go oddziału. Otóż w tej szkole nagle bez wszelkich objaśnień i powodów zaprowadzono wykład niemiecki w religii. Dlaczego? Ministerstwo oświaty na mój protest odpowiedziało, że tam wcale czystopolskich dzieci nie ma. Pytam się poczciwych moich wiarusów: Toście wy Niemcy? „Ja?“ powiada jeden po drugim zdziwiony, jakby mu ktoś z nienacka dał kułaka? „No musieliście przecież tak powiedzieć jakiemu urzędnikowi, bo on mi pisze, że tam w Oborce nie ma wcale czystych Polaków.“ „Ha! to chyba pan minister lepiej wie jak my, czem jesteśmy“ — odpowiadają.

„Na to przecież powiadacie rządowi, że tak nie jest“ — mówię. „A tośmy

Jegomość, pisali do rządu, żeby nam nasze dzieci uczyli tak religii jak tego wymaga ich dobro duszy, bo my nie chcemy, ażeby dzieci nasze poszły w anarchisty i w socyaldemokraty“ — „No, a oni co?“ — pytam. — „Dotychczas ani słowa odpowiedzi — i uczą dalej nasze polskie dzieci po niemiecku przeciw naszej woli i mimo naszego protestu.“

Następnym mówcą był redaktor „Lecha“, p. Paliński. Przemawia na temat: „Szkoła ze stanowiska pedagogicznego“. Przez blizko godzinę trzyma on na uwagę całego audytoryum, które mu gorącemi wyrazami uznania dziękuje za dane wskazówki w kierunku samopomocy rodzicielskiej.

Pan Paliński, zarówno ze względu na swą obecną działalność, jak i na swe znane społeczeństwu dostatecznie ofiary, ponoszone dawniej na stanowisku przewodnika młodzieży, był niewątpliwie jednym z najbardziej powołanych do wypowiedzenia zdania o szkole niemieckiej. A wypowiedział je z taką siłą, z taką mocą przekonania, z takiem poczuciem patryotycznem i znajomością przedmiotu, że audytoryum zrozumiało jeszcze lepiej, jaką to stugłową hydrą jest ta obca szkoła, tysiącznemi sploty opasująca naszą młodzież, to jako szkoła ludowa, to jako gimnazyum, dążąca do zniweczenia przyszłości Polski w samym jej zarodku.

Ubolewamy, że nie możemy Czytelników naszych w całości z tą mową zaznajomić.

Trzecim z rzędu mówcą był p. Gieburowski, który przemawia o „Szkole ze stanowiska narodowego“. Wykazuje on na przykładach z życia rezultaty dzisiajszej nauki religii, wykładanej w języku dziatwie polskiej niezrozumiałym, i wnosi głośny apel do matek Polek, aby te odtąd tem gorliwiej zajęły się dziećmi swemi. Zgromadzeni dziękują głośnym aplauzem za szczere słowa zachęty.

Ostatni z mówców, pan Chociszewski, przypomniał obecnym dawne dzieje, pełne chwały, miasta Gniezna, i szkół gnieznieńskich, osobliwie ostatniej, świętojańskiej, i jej dawnego zasłużonego rektora, dra Karola Neya (pierwotnie Neu), którego ojciec, kościelny w Toruniu, nazywał się właściwie Neu. Na zakończenie odczytał piękny wiersz poetki, ś. p. panny Springer, znanej pod imieniem Maryi z Gniezna, poświęcony pamięci patryoty i pisarza, zapisanego chlubnie w dziejach naszego miasta, który od losu ścigany, zmarł przedwcześnie w Poznaniu w r. 1849

Po przemówieniach wiec przystąpił do uchwał.

Uchwały te, (ważniejsze z nich podajemy niżej) zostały zastosowane do obecnego położenia, uwzględniły też i odpowiedź ks. Arcybiskupa, daną delegatom poznańskiego wiecą; nie żądają też one od władzy duchownej energicznej obrony, lecz wyrażają oburzenie na widok krzywdy Kościołowi wyrządzonej. Rezygnując z pomocy postronnej, a opierając nadzieje swe na *samopomocą narodowej*, wiec dał dowód zrozumienia sytuacyi obecnej.

Rezolucye mają następujące brzmienie:

1. *Oświadczamy*, że pomijanie naszej Władzy duchownej w sprawach nauki religii ze strony władz wyższych szkolnych i udzielanie jej w sposób przeciwny jej woli i życzeniu jest krzywdą wobec Kościoła naszego i wiary, i sprzeciwia się prawom, jakie Kościołowi katolickiemu na mocy konstytucyi się należą. Dlatego niniejszem zanosimy do Królewskiego ministerstwa na ręce prezydyum tegoż *protest uroczysty* żądając zarazem przywrócenia wszystkich praw w dziedzinie szkolnej duchowieństwu katolickiemu i Władzy duchownej na mocy tejże konstytucyi przysługujących.

2. Ponieważ język ojczysty w wykładzie religii jest koniecznym i nieodzownym środkiem; ponieważ obecne traktowanie języka ojczystego względem dzieci polskich ze strony władz szkolnych sprzeciwia się prawom przysługującym obywatelom Królestwa Pruskiego na mocy konstytucyi oraz praw poszczególnych zapewnionych nam przez Kongres Wiedeński i przyrzeczenia królów pruskich, *dlatego protestujemy przeciw ukracaniu nam tych praw* i żądamy od Królewskiego Ministerstwa Pruskiego cofnięcia wszystkich tym prawom naszym przeciwnych przepisów, *i oświadczamy, że jeżeli Królewski Rząd Pruski naszych żądań uprawnionych nie uwzględni, tedy nie będziemy mogli oszczędzić mu zarzutu, że względem nas jako poddanych swoich jest niesprawiedliwym.*

3. Ponieważ w położeniu naszem głównie na rodzinach ciąży obowiązek wiary św. i języka ojczystego, dlatego uchwalamy:

utworzyć w mieście Gnieźnie Kółko rodzicielskie celem wzajemnego popierania i pobudzania rodziców do wypełniania gorliwego swych obowiązków.

Wiec gnieźnieński niejednej rodzinie oczy otworzy na szkody wyrządzane przez germanizacyą.

Niech obywateli gnieźnieńskich nie zraża niemądra i niejasna krytyka, której praca ich doznała ze strony organu ruchu ludowego; żywiołowy odpór przeciw germanizacyi, w którym łączymy się wszyscy bez różnicy poglądów, przy obronie narodowych ideałów, oczywiście nie musi być na rękę separatystycznym dążeniom tego pisma. Obywatelstwu gnieźnieńskiemu i wiecownikom należy się serdeczne: *vivat sequens.* *M. K.*

Samopomoc.

II.

Hasłem „samopomocy“ kierować się powinniśmy nietylko na niwie politycznej. Równe, a może nawet większe znaczenie ma dobrze pojęte i przeprowadzone hasło samopomocy na niwie ekonomicznych stosunków.

O ile samopomoc polityczna, w tem znaczeniu, jakie wyjaśniliśmy poprzednio, wskazuje źródło siły moralnej i politycznej w samym że narodzie, bez odwoływania się do zawodnych obcych czynników, — o tyle też samopomoc ekonomiczna oznacza stan, w którym społeczeństwo, wystarczając samo sobie w sferze stosunków zarobkowych, nie potrzebowałoby zależeć od żadnego innego społeczeństwa co się tyczy zaspokojenia potrzeb ekonomicznych.

Jakżeby Niemcy byli szczęśliwi, gdyby mogli sobie sami wyprodukować tyle zboża, ile im potrzeba, tak, aby nie byli zależnymi od dowozu polskiej pszenicy i polskiego żyta! Jakiż kamień spadłby im z serca, gdyby ktoś im wskazał, w jaki sposób mogą podołać swej pracy sami, nie sprowadzając z zagranicy tłumów robotników polskich i włoskich!

To, cośmy w powyższych dwóch najdrastyczniejszych i nas najbliżej obchodzących przykładach wytknęli, dotyczy i innych społeczeństw, i innych narodów. Widzimy, że cała niemal Europa posiłkuje się zbożem, sprowadzanem z Ameryki; widzimy, że Ameryka potrzebuje od Europy tysięcy i tysięcy wychodźców, aby karczować lasy, zakładać plantacye i zaludniać bezludne okolice; widzimy, że bez dowozu artykułów przemysłowo-fabrycznych z zagranicy niemoże się obejść cały wschodni pas Europy; Królestwo polskie zaopatruje w węgiel całe prowincye rosyjskie, a z Rosyi bierze skóry i futra. Jednem słowem — już z powyższego pobieżnego poglądu na ekonomiczne stosunki widzimy, że we właściwem tego słowa znaczeniu ekonomiczna niezależność jest

czemś niedościgłem, jest chimerą, do której każdy naród może dążyć, ale jej urzeczywistnić nie może. Ale pomimo to, hasło samopomocy nie traci w niczem waloru. Ta ekonomiczna wzajemna zależność, którą widzieliśmy powyżej, polega w pierwszej linii na naturalnych warunkach bytu każdego narodu; trudno przecież dziwić się Europie, że sprowadza z Chin herbatę, a przez to oddaje się w ekonomiczną zależność na punkcie handlu herbaty, jeśli w naszym klimacie herbata rosnąć nie chce. Ale pomimo to ta zależność w niczem nie przekracza programu ekonomicznej samopomocy, ponieważ cechą jej jest wzajemność; kto wie, czy Chińczycy w ostatnich czasach nie zapłacili za armaty i karabiny Europie więcej, niż Europa im za herbatę. W ten sposób więc Europa mogła pierwotny stosunek swój zależności ekonomicznej zmodyfikować na wręcz przeciwny temu: gdyż rzec można śmiało, że Chiny pozostają w zależności od Europy potrzebuje wyrobów przemysłu, za które Europa każe sobie płacić produktami krajowymi, jakby nowożytnym haraczem, nałożonym na niewolników.

Widzimy więc, że hasło samopomocy żąda od społeczeństw *takiego produktywnego natężenia sił, jakie w zakresie ich możności jest w stanie zrównoważyć wartościowo ich potrzeby.*

Przechodząc odrazu ze sfer teoryi do najbliższej praktyki, twierdzimy, że w imię samopomocy nikt nie żąda od nas, abyśmy np. sami uprawiali herbatę, bo to nie leży w zakresie naszych sił, — ale żąda, abyśmy skoncentrowali siły nasze na tych punktach, gdzie uczynić to możemy, a gdzie pomimo to, czy przez niedbałość naszą, czy z innych przyczyn, jesteśmy w zależności od obcych elementów.

Daleko nie potrzeba się oglądać, chcąc znaleść przykład drastyczny, — chcąc wskazać punkt, na którym wszystkie siły naszeześrodkować winniśmy, aby do uwolnienia się z pod obcych wpływów doprowadzić: *spojrzmy tylko na za zależność naszą od żydów, od ich kapitałów, od ich handlu, od ich pośredniczenia!*

Zależność ta trwa z naszej strony stanowczo zbyt długo jak na naród cywilizowany, który swoją korzyść i wartość samopomocy ekonomicznej przecież raz zrozumieć potrafił.

Przyjrzyjmy się tej zależności naszej od żydów zbliska; zwłaszcza wśród naszych wielkopolskich stosunków. Karczmarze — po wsiach, faktorzy, pachciarze i handlarze mięsa w jednej osobie — po dworach; kramarze i kupcy — po małych miasteczkach, wioskach i jarmarkach; wreszcie pełną gębą przemysłowcy w kilku przemysłowo ożywionych miejscowościach naszej prowincyi, przemysłowcy, zatrudniający setki robotników polskich, prawdziwych białych murzynów — wszystko to ludzie należący nietylko już do społeczeństwa obcego, ale do społeczeństwa, do plemienia, które okazywało zawsze gotowość asymilacyi z nami, ale nigdy naprawdę się nie przejęło polskością, zawsze gotowe było schlebiać tym, którzy byli od nas silniejsi, zawsze z fanatyczną nienawiścią występowało przeciw Polakom na arenie politycznej, odkąd na tej nienawiści spodziewało się zrobić dobry interes.

Rola, którą odegrali żydzi w historyi Księstwa w ostatnich stu latach (a raczej od połowy stulecia t. j. odkąd datuje się stanowcza przewaga i siła żywiołu niemieckiego) rola ta należeć będzie z pewnością do najczarniejszych, jaką kiedykolwiek żydzi odegrali w obec jakiegokolwiek narodu, dającego im przytułek. Zawsze po stronie prześladujących, nigdy po stronie prześladowanych, słowem i piórem, intrygą i podstępem nam szkodzący, żywioł żydowski przeszedł najzupełniej na żołd niemiecki i w chwilach, gdy się zdarzyła okazya do pognębienia nas politycznego, nigdy okazyi tej nie zaniechał, aby swem oślem kopytem lwa upadłego nie trącić.

A myśmy się dotychczas faktycznie nie zdobyli na to, aby żywiołowi temu w jego przywłaszczonej dziedzinie — na polu ekonomicznem wypowiedzieć walkę i do niezależności ekonomicznej dojść drogą samopomocy.

To, co się u nas pod tym względem robi, trąci mocno frazesem. Niejednokrotnie rozlegają się hasła: „Precz z żydami, odbierzmy im handel, nie kupujmy nic u żydów!“ — ale do urzeczywistnienia tych haseł nie tak łatwo, jakby przypuszczać można. W pewnem ludowem pisemku zauważono niedawno zupełnie trafnie, że pod tym względem niewiele mogą zdziałać te szerokie warstwy włościańsko-mieszczańskie, do których zazwyczaj z takim apelem głośnym się zwracają. Jeśli chodzi o odebranie żydom handlu np. po wsiach, to zaiste trudna do odgadnięcia jest rzecz, dlaczego każda odnośna próba przyjmowana bywa z niedowierzaniem. Znany jest nam fakt następujący: pewna młoda panienka wraz z siostrą założyła w ludnej wsi w Księstwie skład rozmaitych towarów; prowadziła go z powodzeniem rok i wyparła konkurenta żyda. Ale drugi został się jej na placu. Aby się pozbyć i tego, chciała rozszerzyć swoje przedsiębiorstwo i zaprowadzić rozmaite nowe artykuły. Nie mając dość kapitału na to, zwracała się do banków naszych i do osób prywatnych i nikt nie chciał jej feniga pożyczyć — aż wreszcie fabrykant (Niemiec z Berlina) zasięgnąwszy informacyi o niej i upewniwszy się, że skład jej się rozwija a nie upada, dał jej towar całkiem na kredyt. Gdyby nie to, możeby ją był wyparł żyd-konkurent.

Otóż ta obojętność, ta powściągliwość w związaniu swoich interesów z interesami pracującego uczciwie rodaka jest wrogiem samopomocy. *Wszelka samopomoc opierać się musi na wspólnej pracy, na wzajemnem popieraniu się jednostek dążących do ekonomicznej niezależności.*

Im bardziej niezależnymi chcemy być wobec obcych, tem solidarniejszymi, tem bardziej gotowymi do popierania się wzajemnego powinniśmy być wobec siebie.

Klasyczną szkołą samopomocy ekonomicznej są spółki z ograniczoną poręką; dzięki praktycznie prze-

prowadzonej zasadzie solidarnego ręczenia za całość, każdy z członków z większego w danym razie korzysta kredytu, niż gdyby był po za obrębem tego koła, skojarzonego wzajemnością.

Takiem towarzystwem opartem na wzajemności, powinno być całe nasze społeczeństwo tam, gdzie chodzi o niezależność ekonomiczną.

Zwłaszcza klasy wyższe powinny na to baczną zwracać uwagę i pamiętać, że szerokim warstwom niedość powtarzać: zakładajcie handle po wsiach, zajmijcie się niezajętemi dotychczas przez Polaków gałęziami rzemiosł — ale należy dać im czynne poparcie, *już nietylko w formie „kupowania u swoich“*, ale w formie robienia ułatwień, bez których praca naprzód się nie posunie. Dla handlarzy wiejskich potrzeba hurtownych składów, aby ich samych wyzwolić z zależności od żydów i Niemców, rzemieślnikom trzeba wskazać drogę do otrzymania kredytu na otworzenie samoistnych przesiębiorstw. Niejeden zdolny rzemieślnik polski, któryby mógł świetnie prowadzić interes na własną rękę, trawi na marne całe życie, pracując od sztuki dla jakiegoś żyda hurtownika i siedząc u niego wciąż w kieszeni — dlatego tylko, że nikt mu nie wskaże dróg i środków do uniezależnienia się od obcych rąk.

Racyonalnie pojęta zasada *samopomocy* na każdem polu w nas samych, *o ile będziemy się trzymali solidarnie za ręce*, źródło siły wskaże i drogę do niezależności otworzy.

Vester.



Nasza przyszłość w Poznańskiem.

V.

Celem w życiu święte prawo:
Wytrwać, zostać, być Polakiem.

Musimy wrócić do naszego wstępnego artykułu pisanego przed kilku tygodniami; wyszliśmy w nim ze założenia, że przez cały czas przynależenia naszego do Prus toczy się przeciwko nam zacięta walka, że walka ta stała się w ostatnich czasach jeszcze więcej zażartą i zaciekłą niż dawniej, że obowiązkiem naszym jest wyjść z tej walki zwycięzko i zachować na zawsze nieskażoną polskość krajom polskim pod pruskiem zostającym jarzmem; mówiliśmy wówczas, że nauczono się do dzisiaj nie dawać nam w tej walce pardonu, że więc i naszem hasłem w tej walce może być tylko: **oko za oko, ząb za ząb!**

Jakże rozumieć to hasło: oko za oko, ząb za ząb? naturalnie, że nie dosłownie, nie w tej myśli, abyśmy mieli Niemcom oczy i zęby pięściami wybijać; położenie nasze pozwala nam dzisiaj jedynie: *zająć w tej walce stanowisko odporne i obronne, czyli baczyć dobrze na ciosy, które wróg na nas kieruje, zakryć i wzmocnić miejsca organizmu naszego na cios i szwank narażone i na każdy cios odpowiedzieć środkiem obronnym i ratunkowym.*

Uczmy się od wrogów naszych rozumu i sposobów postępowania!

Ostatnia wizyta ministrów pruskich w Poznaniu ogromnie jest w tym względzie pouczająca i trzeba nam z niej odnośne wyciągnąć wnioski i odnieść korzyści. Cóż ci panowie postanowili? Wzmocnić „zagrożoną niemieckość“, a osłabić polskość w naszych stronach. Jakich do tego używają środków i jakiemi idą drogami?

1) Budują bibliotekę niemiecką i stawiają niemieckie muzeum, aby tu *ducha niemieckiego wzmocnić i nam go zaszczepiać.*

2) Postanowili ziemię naszę między drobnych chłopów niemieckich parcelować, *a nam ją na zawsze odebrać.*

3) Postanowili popierać u nas niemiecki handel i przemysł i rzemiosła, by tem wzmocnić u nas niemieckie mieszczaństwo, *a nasz handel i przemysł i rzemiosła osłabić i nasze polskie mieszczaństwo przygnieść.*

W każdem innem normalnie rozwijającem się państwie, którego ludność w zgodnym stoi stosunku do rządu, przyjmuje obywatelstwo takie „środki kulturalne“ z uczuciem wdzięczności. **U nas inaczej!** *My wiemy, że te wszystkie środki skierowane są przeciwko nam, że mają one nas Polaków wytępić i wydusić, że każdy z nich jest nożem kładzionym nam na nasze polskie gardła!*

Przyjmujemy je więc nie z uczuciem wdzięczności, ale z odrazą i ze wstrętem, widząc niebezpieczeństwo, jakie z nich dla nas, dla naszej polskości może wyniknąć *i gotujemy się do obrony.*

Broń bronią trzeba odbić:

1) Chcą nam zaszczepiać niemieckość, trzeba więc nam w sobie wzmacniać polskiego ducha. O tem pisaliśmy już w naszych artykułach, kiedyśmy wołali, że trzeba nam wiary w przyszłość dla podniesienia ducha i kiedyśmy w przeszłym artykule żądali głęboko polskiego, domowego wychowania dla drobnych dziatek i wzmocnienia tegoż polskiego wychowania u dorastającej młodzieży na uniwersytetach w Krakowie czy Lwowie. Pamiętajmy na te wieszcze słowa, że

Narodu **duch** zatruty
To dopiero bólów ból.

2) Odbierają nam naszę ziemię i parcelują między chłopów niemieckich; więc trzeba nam trzymać się tej ziemi, która jeszcze nam została, z całych sił i parcelować między swoich włościan. O to wołaliśmy już, żądając powszechnych składek w całej Polsce na fundusz, któryby czynności kolonizacyi niemieckiej przeciwdziałał i działalność z naszej strony na wielką skalę umożliwił. **Czekamy dotąd na głosy prasy w tej sprawie!**

3) Chcą popierać u nas niemiecki handel i rzemiosła, by tem wzmacniać u nas niemieckie mieszczaństwo, trzeba więc nam rozwijać wśród siebie handel, przemysł i rzemiosła, by tem wytworzyć silny i zasobny stan kupiecki i rzemieślniczy, polskie mieszczaństwo. Tej to sprawie zamierzam poświęcić kilka uwag w niniejszym artykule.

* * *

Jest to rzeczą niezaprzeczoną, a nader pocieszającą, że w ostatnich może trzydziestu latach drobne kupiectwo u nas i rzemiosło podniosło się i rozwinęło widocznie i zdobyło nieco kapitału. Znacznie trudniej u nas z wytworzeniem wielkiego fabrycznego przemysłu; tworzymy obecnie gospodarczą całość ze rzeszą niemiecką i dlatego Zachód zaspakaja nam większość naszych potrzeb, jakie życie dzisiejsze wytwarza; nasi kupcy detaliczni sprowadzają towary swe wyłącznie ze Zachodu, Niemiec i Francyi, bo u nas fabryk wyrabiających odnośne artykuły, wcale nie ma. Nie mogą też one wyrosnąć naraz z pod ziemi mimo najlepszej woli, jakąbyśmy może w tym względzie mieli, bo przedewszystkiem kraj nasz wyłącznie rolniczy nie dostarcza materyału potrzebnego, bo społeczeństwo nasze rolnicze zwolna przetwarza się w przemysłowe, bo nie ma u nas dostatecznego kapitału, potrzebnego do założenia i utrzymania wielkich przedsiębiorstw fabrycznych.

Rozwijać się na dobre u nas mogą tylko takie fabryki, którym kraj nasz dostarcza materyału do przetwarzania, a więc fabryki stojące w związku z rolnictwem; i tak wiemy, że u nas w Poznańskiem najliczniejsze są na całe Niemcy gorzelnie, największe cukrownie, rozwijające się pod polskim kierunkiem bardzo a bardzo korzystnie. Ale i w tej gałęzi przemysłu fabrycznego nie dosyć jeszcze natężamy swoję energię; nie wiem np. dlaczego u nas nie powstają dostateczne mączkarnie, dlaczego napróżno wołamy dotąd o krajowe fabryki papieru, o polskie fabryki mydła?

Pewno, że tutaj głównie jeszcze brak zmysłu przemysłowego i kupieckiego sprytu staje rozwojowi tych gałęzi fabrycznej pracy na zawadzie. Na brak kapitału nie możemy się znowu zbytnio skarżyć i nim ospałość swą tłomaczyć, bo chociaż nie ma go może w dostatecznej do takich przedsiębiorstw ilości wśród naszych sfer mieszczańskich i kupieckich, to przecież nasi magnaci, nasi właściciele rozległych latyfundyi, lokujący kapitały swe po bankach francuskich i angielskich, gdzie im dwa od sta (!) płacą, mogliby kapitały swe w takie przedsiębiorstwa wkładać; urosłaby stąd korzyść dla kraju, mnożyłby się kapitał krajowy, i tylu a tylu ludzi dostałoby u swoich pracę i chleb i możność dorobku!

Dziwna zaiste to rzecz ten brak kupieckiego zmysłu u nas w Poznańskiem; nie możemy mówić, jakoby brak ten był do dzisiaj ogólnie polskim, boć widzimy, że nasi bracia pod zaborem rosyjskim wytwarzają wśród siebie duży przemysł krajowy. Prawda, że oni mają w Rosyi zupełnie inny rynek, zupełnie inne miejsce zbytu niż my tutaj w Poznańskiem do Niemiec, ale my i w małej mierze nawet w sferze zwykłego, drobnego kupiectwa i rzemiosła nie czynimy wszystkiego, co byśmy czynić mogli. Te rodziny, w których u nas utrzymał się handel, czy skład, czy rzemiosło jakie, dobrze się rozwijające, choćby przez dwa pokolenia, na palcach policzyć można; i rzecz zastanowienia godna niemal wszystkie znaczniejsze z nich mają niemieckie nazwiska i pewno też krwi niemieckiej duże przymieszki, chociaż polskie już serca!

U nas kupiectwo lub rzemiosło, uważa się bardzo często za stan przejściowy; kto się na nich jako tako dorobił, już syna swego pcha w inny zawód, bo mu ten jego już nie dosyć dobry. Skończy u nas młody człowiek gimnazyum, to już musi zostać księdzem, albo doktorem, albo adwokatem, po to, by mnożyć uczony proletaryat, który u nas już dosyć jest liczny. Znam we Francyi i w Niemczech młodych ludzi, którzy skończywszy gimnazyum oddawali się rzemiosłu, krawiectwu, czy szewstwu, czy stolarstwu i kształcili się w swym zawodzie najpierw w warsztacie odnośnym, potem na akademii rzemieślniczej. W ten sposób wytworzyć się może inteligentny i poważny zastęp rzemieślników, reprezentujący odpowiednio swój szacunku godny stan, zdolny sprostać każdej zagranicznej konkurencyi i dorabiający się coraz to więcej uznania i grosza. O rozwoju naszego rzemiosła i kupiectwa daje może najlepsze pojęcie rozwój spółek zarobkowych, jeżeli odliczymy kapitał ulokowany w bankach tychże spółek przez naszych włościan. W całych Prusach mamy razem 130 banków ludowych i spółek pożyczkowych, a w tych 130 bankach ogółem 50¼ milionów marek; prawda, że niestety dużo grosza polskiego mieści się w bankach i kasach niemieckich, ale zawsze powyższa suma może nam dać w przybliżeniu pojęcie o stanie kapitału wśród naszych sfer ludowych. 50¼ milionów, to na oko duża suma, lecz zważywszy, że jest nas Polaków w Prusiech prawie 4 miliony, przypada na każdego zaledwie 15 marek zaoszczędzonego grosza, umieszczonego w polskich instytucyach; jest to na głowę suma niezmiernie mała! Widzimy więc jak bardzo potrzeba nam stanu rzemieślniczego i kupieckiego, tego stanu, którego zadaniem jest *dorabiać się*, gromadzić kapitały, majątek. Kto z polskich rzemieślników i kupców chce być dobrym obywatelem, powinien sobie wziąć za obowiązek przysporzyć kapitału w kraju. Nasz stan mieszczański, nasi kupcy i rzemieślnicy coraz więcej okazują świadomości obywatelskiej i poczucia narodowego; niechże dążą do tego, by dorobionym kapitałem stać się silnymi i stworzyć jednę z niezdobytych twierdz w tej ciężkiej walce, jaką o swoję przyszłość staczamy.

Poznańczyk.



Kilka słów odpowiedzi
Autorowi artykułu p. t.

„Między młotem i kowadłem.“

Artykuł ogłoszony w „Pracy“ pod tytułem „Między młotem i kowadłem“ (dnia

22 lipca i 5. sierpnia 1900), zawiera poglądy bardzo trafne, historyczne, przekonywające pod każdym względem, czem była Moskwa i jej dążności. Dalszy zaś ciąg szanownego Autora pracy „Między młotem i kowadłem“, przybiera cechę i poglądy osobiste, starając się usilnie obielić Moskwę — aż nadto czarną — a zdaje się, iż dotychczas tego atramentu białego jeszcze nie wynaleziono; mówiąc niezawodnie z własnego przekonania lub z innej jakiej racyi: . . . . . . „ale gdy niema innego wyboru, trzeba wybrać złe mniejsze.“ — Jakto — szan. Autor „Między młotem i kowadłem“, pół życia swojego przepędził u Moskali i jeszcze ich dostatecznie nie poznał? a jednak, zna wybornie ich historyę, która, o ile nam wiadomo, odkąd Moskale są znajomi Europie, nic dobrego, szlachetnego, coby było godnem uwagi mężów uczonych o nich nie zanotowała; i to nam wystarczy, że i nadal tak postępować będzie. A cóż nam historya o nich mówi, począwszy od Augusta II-go do naszych czasów, jedynie tylko co do Polski; — posłuchajmy: Niedotrzymanie nigdy traktatów ani przysiąg uroczyście ogłaszanych — świadome gwałcenie prawa wszędzie i na każdem miejscu — krwawe zabory nieusprawiedliwione niczem — morderstwa i dobijanie rannych w czasie wojny — rabunek dóbr klasztornych i świeckich, magnatów i szlachty — napady i samowolne aresztowania w nocy — administracyjne wysyłanie na Syberyą bez żadnego sądu — Teroryzm panujący, ustawiczny, ciągły nad wolnym narodem od lat stu przeszło itd. i szan. Autor zaleca nam „mniejsze złe“ czyli, pobratać się z Azyatą-Mongołem, a tem samem, przyjąć ich azyatycką cywilizacyę, która się różni nieskończenie od cywilizacyi europejskiej — „warto poznać ten naród.“ Naród?! pytam szan. Autora, gdzież jest ten naród, czyli (112) sto dwanaście plemion, mówiących kilkudziesięciu językami i narzeczami, składających Moskwę? (Schnitzler, Hermann, Huhn.) L'histoire de la Russie. Bruxelles. 1847.) Statistische Schilderung von Russland A. 1789. Hermann.) My tylko widzimy gromadę ciemną bez najmniejszego wykształcenia naukowego, hordę niewolników, rząd i czynowników; a o moralnem wychowaniu wszystkich razem, niema nawet i co mówić.

Następnie szan. Autor pisze dalej:.... „Takiem dla nas kowadłem była przed laty Litwa wobec krzyżackiego młota... wybraliśmy kowadło.... Rosya azyatycka posiada w swoich żyłach wiele krwi bratniej?.... naszym wpływem zmieniła swoje dotychczasowe wschodnie idee.....? że przyjdzie nam jeszcze kiedyś w stronę Moskwy zwrócić swoje nadzieje narodowe....? gdy Rosya naprawi błąd Katarzyny....? niech Rosya podejmie stary naszych Bolesławów i Jagiełłów sztandar.... a wtedy któreż polskie serce pozostanie zimnem....???“

Każdy człowiek wychowany w wolnym kraju, niezawodnie ma prawo i prawo mu też nie zabrania, iż może mieć własną opinię, wydać sąd, publicznie, prywatnie lub pisząc w przedmiocie, jaki sobie obierze za stosowny i do jego gustu przypadający, trzymając się zawsze w granicach przyzwoitości; — ale — ażeby ogłaszać Polakom indywidualne zdania, upokarzające do najwyższego stopnia Polskę, może tylko ten, który nie zna miary złego.... aby rzucać pod stopy sztandar Bolesławów i Jagiełły, czysty jak kryształ, jak kropla wody, niczem nigdy nieskalany, oddawać Moskwie broczącej we krwi polskiej, tej Moskwie, która była i jest przyczyną od stu lat przeszło, tylu łez wylanych przez nasze Matki i Ojców, Siostry i Braci, Sieroty, których rodzice jęczeli w kajdanach — tej Moskwie, która tyle set tysięcy ofiar niewinnych wysłała do kopalń podziemnych, na rusztowanie — na śmierć bez różnicy płci i wieku, istne panowanie Nerona, a nawet, przewyższające w okrucieństwach, zwierzęcej siły, wyrafinowanej i lubującej się w tem prześladowaniu.

Nieskończenie też wielka zachodzi różnica pomiędzy Litwą ówczesną a dzisiejszą Moskwą. — Książę Jagiełło wysłał dwóch swoich braci Skirgiellona i Borysa do Krakowa, prosząc w jego imieniu, o rękę królowej Jadwigi. Posłowie więc Jagiełły odezwali się do królowej Elżbiety matki Jadwigi w te słowa:

> „Najjaśniejsza Pani! Królowie i książęta potężni z różnych narodów, okazywali życzenia niejednokrotnie, połączyć się węzłem krwi i przyjaźni z naszym Wielkim Księciem, ale Bóg, Najwyższy Stwórca, widać inaczej postanowił, zachowując to wielkie dzieło do spełnienia Waszej Królewskiej Mości. O Pani Wszechwładna, spełnij wolę Nieba, oddaj w małżeństwo Wielkiemu Księciu litewskiemu, Twoją ukochaną córkę Jadwigę, Królowę Polski. Wierzymy, iż ten związek będzie na chwałę Bogu, zbawieniem dusz — powiększeniem Królestwa. — Zanim raczysz zezwolić na ten związek, Wielki nasz Książę litewski, przyjmuje religię rzymsko-katolicką ze swoimi braćmi przedniejszymi i całym Narodem. — Ofiaruje wszystkie swoje skarby, jako wynagrodzenie szkód, jakie mogły wypłynąć w wojnach pomiędzy dwoma narodami. Obiecuje i gwarantuje, zwrócić wszystkie posiadłości zabrane Koronie Polskiej, — wypuścić wszystkich jeńców płci obojga. — Obiecuje w końcu, połączyć na wieczne czasy, Wielkie Księstwo litewskie i kraje ruskie z koroną Polski.“

(Histoire de la Pologne par C. F. Chevé T. 1. 178.)

Otóż nie Polska wybrała kowadło litewskie, ale Litwa poddając się Polsce, uznała wyższość cywilizacyi i potęgę Polski, połączyła się tem chętniej, przewidując i łącząc wspólną obronę przeciw Krzyżakom, Tatarom i nowo powstającemu Księstwu Moskiewsko-Turańskiemu na Suzdalu. — Czy Moskwa dzisiejsza jest zdolną do tak wielkiego dzieła, jakie Litwa w owym czasie (1385—6,) tak szlachetnie spełniła bez najmniejszego zastrzeżenia ani warunku? Moskwa chce rządzić światem, i to jest jej ostatnie słowo.

Pomimo wstrętu autora do pogan, my przekładamy Litwę nad chrześciańską Moskwę, a Polacy niepotrzebują wybierać „złe mniejsze“ ani tonąć w brudnym i cuchnącym morzu moskiewskiem, ani prusko-protestancko-niemieckiem, ale walczyć z godnością i wiarą na przyszłość usque ad finem. A jeżeli gałązka jakaś dobrowolnie odpadnie od pnia narodowego — niema tu wielkiej szkody, przeciwnie, będzie to pewne przesiewanie, że tak powiem, odłączenie kąkolu od zdrowego ziarna.

Jedno tylko zapytanie, na które dotąd nieodpowiedziano historycznie, mianowicie: Co, kiedy i gdzie, Prusacy i Moskale, dziś tak niby potężni, uczynili dla ludzkości, bliźniego, chrześcijaństwa i prawdziwej cywilizacyi? Oprócz zaborów wprowadzając niewolę, nic! — Bo przecież wyjątkowe prawa — napady na cudzą posiadłość — siła przed prawem — prześladowanie języka i religii katolickiej i t. d. niemożemy zaliczać do cywilizacyi tegoczesnej, której Polacy od tysiąca przeszło lat byli wiernymi pionierami i nigdy nie zboczyli z prawdziwej drogi cywilizacyjnej. — Lecz — cóż mogło wpłynąć, iż stan obecny, na który wszyscy narzekamy, jest niesprawiedliwy i tak nieludzki? — Duma, egoizm i zaborczość panujących! — Cnoty szatańskie powinny być zastąpione przez *miłość bliźniego, miłość prawdziwą Chrystusa*, który nam przekazał tę miłość zachować i pielęgnować, a wtedy — ach, wówczas, — znikną wszelkie nieporozumienia pomiędzy ludami — ...a kiedyż to nastąpi? — niewiem — ale z pewnością będzie lepiej. —

T.



Z TYGODNIA.

Przyjazd ministrów do Poznania minął bez głębszego wrażenia. My, Polacy, juześmy się odzwyczaili dzięki doświadczeniom lat ostatnich od płonnych nadziei, że takie wizyty mogą być połączone z jakąkolwiek poprawą bytu, a pogorszenia się stosunków oczekujemy z zimną krwią.

Trafnem się nam jednak wydaje przypuszczenie jednego z naszych pism, które twierdzi, że te mnożące się oznaki wzmagającego się w Poznańskiem ruchu socyalistycznego są przyczyną ministeryalnej wizyty w Poznaniu.

W Berlinie mniemano dotąd, że potęga socyalistyczna na wschodnich kresach państwa nigdy się nie zakorzeni. Liczono na słowiańską nieśmiałość socyalną, na wpływ kościoła i prasy polskiej. Żywioł polski, rządzony z jakąkolwiek życzliwością, mógłby się długo opierać nurtowaniu przewrotowemu, ale raz pochwycony w wir niepohamowany, mógłby się znów przyczynić przeważnie do ryczałtowego przyjęcia socyalistycznego kąkolu na urodzajniejszej, bo dobrze uprawionej niwie.

Ta uprawa, przygotowana od dawna przez pługi hakatystyczne i różne prześladowania, teraz zdaje się, zwłaszcza po ostatnich rozporządzeniach ministra, jest gotową do przyjęcia siewu, a przywódzcy socyalizmu z wielką, prawdziwie polityczną zręcznością pochwycili stosowną chwilę do działania. Na całej linii ujęli się za prześladowaniem języka polskiego i *religii* po polsku wykładanej, co im zjednało od razu sympatye w najszerszych kołach ludności polskiej. Ta nieprzystępna w chwili widocznego niebezpieczeństwa żadnym argumentacyom i perswazyom, sądzi tylko położenie z faktu gołego: że jedna strona język nasz coraz więcej upośledza, a druga go broni. A więc tam jest nieprzyjaciel, tu potężny sojusznik, którym pogardzać nie wolno z jakichś tam idealnych względów.

Takie jest położenie rzeczy. Ubolewać można nad niem, ale odmienić go nikt nie potrafi, najmniej prasa, która w twardej walce z ideałami przewrotu, przestróg nie szczędziła, widząc jak się zwolna, ale statecznie opinia przechyla ku zapatrywaniom, coraz więcej się zbliżającym do socyalizmu. Potrzeba tylko było iskry, żeby nastąpił wybuch, a iskrą tą było rozporządzenie ministra Studta.

Przytem i mnożące się coraz bardziej w naszej prowincyi objawy, które w razie zatargów z Rosyą mogłyby pozbawić Prusy pięknych prowincyi wschodnich, niepożądane są dla Prusaków w chwili, gdy na krańcach Azyi polityka zagraniczna niemiecka doznaje ciągłych niepowodzeń. Oto świeżo wydał hr. Bülow okólnik do mocarstw w sprawie chińskiej, proponując wyszukanie w Chinach „winnych“ i ukarania ich. Ponieważ to „szukanie winnych“ w rozległych Chinach oznacza poprostu dalszą wojnę, a zatem mocarstwa, na znak dany przez Rosyę jednogłośnie wyrzekły się pięknego planu szukania 400 winnych pomiędzy 400-sto milionową ludnością i oświadczyły, że nie chcą stać w drodze Niemcom, które są państwem najbardziej obrażonem -- niechże więc sobie szukają sprawiedliwości!

Oto poprostu udało się Europie wplątać Niemcy w nieobliczalny w skutkach zatarg z Chinami. Niedołęztwo buńczucznej z pozoru, ale niezdarnej w istocie rzeczy polityki niemieckiej jest uderzające. Cały świat sobie już drwi z tej porażki Niemców, a tylko rząd niemiecki wciąż jeszcze musi udawać, że nie rozumie wcale, co znaczy propozycya rosyjska wycofania wojsk z Pekinu.

Podług najnowszych wiadomości Rosya – aby tembardziej upękerzyć niemiaszków — oznajmiła cesarzowej chińskiej, iż bierze ją pod swą opiekę i zaprasza ją do powrotu do Pekinu. — Niemcy, którzy projektowali sobie, że Waldersee powiedzie ich na starą cesarzową, spotykają teraz wyciągniętą dłoń rosyjską, która ich odsuwa, skąd przyszli i zdaje się mówić: powoli, powoli braciszki, niech ja się najpierw nasycę, to wam resztki Chin może zostawię, gdy mi przyjdzie ochota i dobry humor.

Dostojnicy berlińscy dostali też podobno genialnego kataru na wieść, że zajęty kawał Mandżuryi, prowincyi chińskiej od strony Rosyi, rosyjski dowódca zaanektował i objął w posiadanie Rosyi — i kwita. Nie było nawet żadnego zapytania, czy Berlin się zgadza.

Z dalekiego wschodu zwróćmy oczy ku bliższym stosunkom.

Monarchia austryacka przechodzi w tej chwili ciężkie, niebezpieczne przesilenie. Dawna niemiecka, centralistyczna Austrya, odegrała do końca swą rolę a rwiące się do życia, lekceważone i krępowane przez wieki jej ludy słowiańskie na nowe chcą ją popchnąć tory rozwoju politycznego. Rozpoczęta od lat kilku walka, której nie przewidywał zapewne hr. Badeni, wydając znane rozporządzenia językowe dla Czech, wre dzisiaj tem straszliwiej, im więcej centralizm germanizacyjny przychodzi do przekonania, że tam w tej walce rozgrywają się jego losy, że chodzi tu o jego życie lub śmierć. Ostateczne zwycięztwo nie byłoby tak trudnem dla Słowian austryackich, gdyby w tej walce szli ręka w rękę w jednym a zgodnym szeregu. Dawny niemiecko-austryacki biurokratyzm potrafił zasiać pomiędzy nimi ziarno niezgody, które i dzisiaj zgubne wydaje dla nich owoce. Rozprzężenie, rozbicie Słowian, zabopólna nieufność i odrębne dążenia niweczące ich siły, czynią ich słabymi wobec przeciwników, którzy w stanowczej chwili łączą się w jeden zgodny obóz.

Najwięcej wyrobieni politycznie Czesi nie będą więc mieli w przyszłym sejmie wiedeńskim sprzymierzeńców ani w Polakach, ani w innych drobniejszych słowiańskich pobratymcach. Czesi ograniczeni są na własne siły a są niemi jedynie dawna obstrukcya, którą i ostatni rozbił parlament.

Temu położeniu bez wyjścia nie zaradzą w Austryi nawet nowe wybory, rozpisane na styczeń przyszłego roku.

W całej Galicyi rozpoczęła się już na dobre agitacya wyborcza. Wszystkie stronnictwa mianują już kandydatów. Największą ruchliwość okazują, jak zwykle, „Stojałowczycy“ i socyalni demokraci.

Dla lepszej informacyi czytelników podajemy poniżej rozkład dotychczasowych posłów na poszczególne stronnictwa:

Na 78 posłów wybieranych w Galicyi do parlamentu austryackiego 20 z wielkiej własności, 13 z miast, 3 z Izb handlowych, 27 z gmin wiejskich i 15 z powszechnej kuryi piątej miało w ostatnim czasie: Koło polskie 57 mandatów a to: 20 z wielkiej własności, 13 z miast, 3 z Izb handlowych, 12 z gmin wiejskich i 9 z powszechnej kuryi piątej; Stojałowczycy przed rozbiciem się stronnictwa na zwolenników Danielaka i Stojałowskiego liczyli 7 mandatów, a to: 6 z gmin wiejskich, a 1 z kuryi piątej: Rusini rządowi 5, wszyscy z gmin wiejskich; Rusini radykalni 3, i to: 2 z gmin wiejskich, a 1 z kuryi piątej; Ludowcy 4, a to 2 z gmin wiejskich, a 2 z kuryi piątej; Socyaliści 2, obaj z kuryi piątej.

Ci dwaj socyaliści, to Kozakiewicz ze Lwowa i Daszyński z Krakowa.

Zdaje się, że przyszłe wybory wielkiej zmiany w tych liczbach głosów nie sprowadzą.

K. O.

PRZEGLĄD PRASY.

Walka przeciw pacierzowi polskiemu wre już na całej linii, gdzie tylko lud polski żyje, mówi i myśli po polsku. Walka ta toczy się nie od dziś, ani od wczoraj, ale od lat, a celem jej jest, aby lud polski wyparł się swego pacierza polskiego i w ten sposób pozbył się ostatniego dziedzictwa swych ojców. Ci, co

tę walkę prowadzą, ufają w swą siłę, choć mają poczucie swych złych czynów, których każdem pogwałceniem praw narodowych się dopuszczają.

Taki stan, jaki zaprowadzono obecnie w Poznaniu, istnieje w Prusach Zachodnich, na Warmii i na Górnym Śląsku, gdzie dzieci od szeregu lat już nie słyszą słowa w szkole po polsku. Na Górnym Śląsku nawet na niższym stopniu nauka religii odbywa się w języku niemieckim.

Z tego widać to jedno: *że lud polski w całym zaborze pruskim jest traktowany jednakowo*, gdy chodzi o jego język ojczysty, lub jego pacierz polski. Walka przeciw najświętszym skarbom ludu w poszczególnych dzielnicach Polski może się różnić co do formy, co do sposobów i środków, *lecz cel jej wszędzie jeden*. To nakłada na *cały lud polski* ten święty obowiązek wytężenia całego zasobu sił w celu odparcia tej niecnej roboty.

O położeniu sprawy tej na Górnym Śląsku referuje **„Katolik“** jak następuje:

„Przypominamy, że dzieci polskie u nas na Górnym Slązku od lat nie pobierają w szkole polskiej nauki religii i w podobnem znajdują się położeniu, co dzieci poznańskie. Jakie wydaje owoce system uczenia dzieci religii w obcym im języku i czego w przyszłości po tym systemie się spodziewać można, o tem pomiędzy innemi poucza nas znana petycya duchowieństwa górnośląskiego do ministra oświaty o rozszerzenie języka polskiego przy nauce religii. Petycya ta została wysłaną mniej więcej półtora roku temu, podpisaną przez całe duchowieństwo górnośląskie i popartą przez ks. Kardynała. Księża przedstawiwszy w swej petycyi fatalne skutki, wynikające z udzielania dzieciom polskim nauki religii w niemieckim języku, prosili o polską naukę religii. Niestety nadaremnie. Petycya, podpisana przez całe duchowieństwo i poparta przez ks. Kardynała, nie doznała uwzględnienia ze strony rządu. Ówczesny minister oświaty, dr Bosse, odpowiadając posłom w sejmie na petycyę naszych księży, zasłaniał się także „niebezpieczną dla państwa pruskiego agitacyą polską.

„W Poznaniu pominięto przy nauce religii Władzę duchowną, u nas na G. Slązku przed półtora rokiem pominięto ostrzegający głos księży naszych. Tu i tam powaga władz państwowych chce wiedzieć lepiej, co jest potrzebne dla dobrego religijnego wychowania dziatwy, aniżeli Władza duchowna, aniżeli duchowieństwo. Tu i tam chodzi o lud polski, tu i tam o pacierz polski, o polską religią. I znów mamy dowody, że walka przeciwko pacierzowi polskiemu toczy się w zaborze pruskim na całej linii, gdzie tylko lud polski żyje i mówi po polsku. Rząd pruski nie zna żadnych różnic pomiędzy G. Śląskiem a Poznańskiem, lub Prusami Zachodniemi. On zna tylko jeden jednolity żywioł polski, który ma być wchłonięty w żywioł niemiecki. Ku temu celowi szuka to takich, to owakich środków i sposobów. I nie zanosi się na to, żeby stosunki miały się polepszyć, żeby system szkolny zrobił pewne ulgi dla dzieci polskich przy nauce religii.

W walce o pacierz polski, którą dziś podjęło społeczeństwo nasze, towarzyszą nam serdeczne sympatye całej Polski. Prasa bez wyjątków zajmuje się obszernie wiadomościami bieżącemi z naszego placu wojny. W sprawie rozporządzeń Studta niebawem po ich wydaniu zamieścił lwowski **„Tygodnik Narodowy“** następujący artykuł informujący:

„Nadeszła teraz kolej na nowy zamach, skierowany tym razem nietylko przeciw polskości, ale przeciw religii: na wyrugowanie polskiej nauki religii, a zastąpienie jej niemiecką.

„Rząd przedsięwziął represyjny krok ten zupełnie nagle, bez poprzednich konferencyi z lokalnemi władzami, bez poinformowania się, jak na to się zapatruje społeczeństwo polskie i wreszcie jaką postawę zamierza w tej sprawie zająć władza duchowna, w artybucye której wkracza nauka religii.

„Społeczeństwo polskie odpowiedziało na to głośnym protestem i wyrazem oburzenia, a całą sprawę mocno skomplikowała nowa kwestya, która się wyłoniła z naprężonej sytuacyi: kwestya, jak ma się zachować wobec tego duchowieństwo, jak się zachowa arcybiskup.

„Arcybiskup, przywykły do tego, że głos jego w sprawach politycznych prowincyi miał zawsze dotychczas pewien walor, czuł się dotknięty postępowaniem rządu bez zasięgnięcia jego zdania. Przytem dzisiejszy arcybiskup, — przecież to ten sam ksiądz dr. Stablewski, który w sejmie pruskim najenergiczniej protestował przeciw zniesieniu polskiej nauki religii i wyrzekł pamiętne słowa, nie będąc jeszcze wówczas arcybiskupem, że „na zakaz rządu arcybiskup może odpowiedzieć nakazem do księży, aby w kościołach uczyli religii po polsku“. Dziś mu to jego zdanie przypomniano.

„Wskutek ogromnej religijności ludu wielkopolskiego arcybiskup jest pod względem politycznym potentatem, którego ramię sparaliżować może najdalej sięgające zamiary rządu. Zawsze jeszcze tu pełny walor mają słowa arcybiskupa Felińskiego, wyrzeczone do satrapy warszawskiego, który groził, że na zbuntowaną stolicę ze wszystkich dział każe uderzyć, a arcybiskup mu odrzekł na to, że on w takim razie uderzy w wszystkie dzwony. I umilkł satrapa... Ale rząd za daleko już zaszedł, aby się miał cofnąć; nie cofnie się też arcybiskup, a że po stronie rządu jest siła, więc odżyją zapewne w nowej edycyi wspomnienia kulturkampfu.

„W przededniu tego nowego kulturkampfu, którego charakterystyczną cechą będzie to, iż w harmonijną całość powiąże się w nim obrona polskości z obroną religii, warto zaznaczyć, czego spodziewa się polskość po dalszym przebiegu wypadków. Spodziewa się ona wielkich korzyści i wzmocnienia ducha narodowego.“

Ostatni zwrot wystarczająco objaśnia się faktem, że artykuł powyższy ukazał się bezpośrednio po znanem zapytaniu ks. Arcybiskupa w Berlinie, to jest wtedy, gdy całe nasze społeczeństwo oddawało się nadziei prowadzenia walki w obronie narodowości i wiary pod wodzą duchowieństwa, gdyśmy takim samym nadziejom publiczny dali wyraz. Warunki o tyle się zmieniły, że dzięki przezornym słowom ks. Arcybiskupa, wyrzeczonym do deputacyi wiecowników, społeczeństwo nasze obecnie już tylko drogą samopomocy naprawić chce krzywdy, zadane przez wrogów naszej narodowości.

W chwili, gdy społeczeństwo nasze skupiać się chce w sobie, aby tem hasłem samopomocy zaradzić złemu, i rezygnuje z wszelkiej pomocy z zewnątrz — nieproszeni, ani niepowołani opiekunowie zjawiają się w postaci socyalistów, którzy powziętą na zjeździe swym w Moguncyi rezolucyą zdeklarowali się za naszą sprawą. Że to się stało w celach agitacyjnych, a nie innych, dowodzą tego najlepiej mowy, wygłoszone przez delegatów polskich, (?!) którzy się przyznali z zupełnym cynizmem (p. Merkowski z Berlina), że ponieważ agitacya na gruncie narodowo-patryotycznym dla socyalistów wydaje najlepsze owoce, więc radzi się jej trzymać, do czasu, gdy się ludność od haseł narodowych nie odwróci — a wtedy język niemiecki będzie mógł wejść w swą rolę, jaką odgrywa obecnie w rękach rządu, który się nim posługuje jako narzędziem do germanizowania.

Trafne uwagi z tego powodu czyni **„Goniec Wielkopolski“** pod adresem socyalnej demokracyi:

„Na zjeździe w Moguncyi socyaliści niemieccy postanowili wytoczyć w parlamencie kwestyą polską z powodu znanego rozporządzenia ministra Studta, i wziąść wogóle Polaków pod swoją opiekę, i to z tego powodu, że inne stronnictwa niemieckie, mianowicie Centrum, nie ujmuje się wcale za Polakami.

„Równocześnie rzucili socyaliści w Moguncyi podejrzenie na Centrum, że z umysłu lawiruje tak, ażeby rząd parlamentu nie zwoływał za rychło z powodu nadzwyczajnych wydatków na wyprawę do Chin, aby nie potrzebowało w parlamencie za rychło zwołanym rozpoczynać sporów z rządem.

„Tutejszy „Tageblatt“ pisząc o zamysłach socyalistów w sprawie polskiej, zauważa, że socyaliści robią Centrum konkurencyą, bo Centrum chce także uchodzić za — obrońcę przyrodzonych praw ludu polskiego. Zapytuje więc „Tageblatt“, co na tę konkurencyą powiedzą Centrum i Koło polskie w Berlinie?

„Tageblatt“ cieszy się z konkurencyi, bo ona uwydatni, że za nadużyciami polskiej agitacyi przemawiają katolicy Niemcy i socyaliści i wtedy Niemcy, narodowo usposobieni, jeszcze energiczniej bronić będą swej sprawy, aniżeli dotąd.

„Samo się przez się rozumie, że lud polski z szczerem uznaniem przyjmie każdą obronę narodowych praw swoich w parlamencie, czy to ze strony Niemców katolików, czy z strony socyalistów. Przy tem oczywiście przynajmniej polskie stronnictwo ludowe — nie będzie opierało sprawy narodowej na opiece i łasce czy Centrum, czy socyalistów. Nie spuści ono nigdy z oka tego, że Centrum pośrednio proteguje germanizacyę przez Kościół, a socyaliści chcą stopić narodowość polską w swym kotle kosmopolitycznym.“

Wogóle stwierdzić można, że w zapatrywaniach swych na stosunek nasz do socyalistów prasa nasza jest dość jednolita. Toruje sobie zdanie, wyrażone i przez nas w ostatnim artykule wstępnym, że dla nas niema interesu liczyć na jakąśkolwiek pomoc i zkądkolwiek,

bo jedynie drogą samopomocy społeczeństwo nasze dojść może do celu.

Jako grupa na zewnątrz jednolita, na wewnątrz solidarna — tylko w ten sposób możemy wywalczyć sobie warunki lepszego bytu. Nie sojusze i przymierza zatem z jakimśkolwiek czynnikiem stojącym poza obrębem społeczeństwa, a tem mniej z socyalistami — lecz zwalczanie w sobie samym samolubstwa i egoizmu wyprowadzi nas z niedoli. Potrzeba walki z egoizmem i samolubstwem staje się z dniem każdym coraz bardziej potrzebą społeczną.

Zwraca na to uwagę w seryi artykułów **„Głos Narodu“**:

„Rządy mające władzę nad nami, jako nad swymi poddanymi, niejednokrotnie, aż nadto dobitnie zaznaczyły to, iż pragną przyspieszyć tę chwilę, w którejby nietylko one, ale i inne narody rzec mogły śmiało, iż Polaków już nie ma! Lecz przecie — istniejemy.

„Walka o życie wre i kipi. Nie ma telegramów z krwawego pola walki, ale są straszne wieści o gnębieniu praw naszych, wydzieraniu mowy, zakazach despotycznych, rozporządzeniach niemiłosiernych. Jest źle i to bardzo źle, ale tylko niektóre jednostki społeczeństwa naszego zło widzą i czują. Inni, a tych bardzo wielu — spowici samolubstwem jak watą ciepłą, ani chcą wiedzieć, ni słyszeć, ani nie chcą czoła odsłonić, aby na nich chłodny wiatr nieszczęścia narodu nie wionął, aby im wygodnego życia drażliwa wieść o innych nie zamąciła i nie zepsuła.

„Co ja pomogę lub poradzę? — pyta niejeden i zamyka drzwi jak najstaranniej, aby do jego ciszy i wygód nie doleciał odgłos gromów, bijących bardzo blizko.

„W obecnem położeniu — powiada inny, żadnej drogi nie ma nad cierpliwe przeczekanie. Gdy nadejdzie odpowiedniejsza pora, jakaś burza polityczna, jakieś wulkaniczne wstrząśnienia, przełomy, wtedy będzie można zabrać się do czego...

„Przedewszystkiem oświecać lud, bo bez niego wszystko na darmo. Gdy lud poczuje się prawym obywatelem Ojczyzny, zyskamy miliony serc i ramion — a! będzie można rozpocząć inną akcyę — znów inny głos się odzywa.

„Rzecz dziwna, iż za temi dzwoni jeszcze wiele innych, podobnych haseł, bo u nas partyi, stronnictw, obozów co nie miara, a każdy stwarza sobie nowe bogi, buduje plany i ma to przekonanie, iż jedynie tymi środkami Ojczyznę zbawi.

„W istocie, robimy bardzo mało i nie pojmujemy jasno, co robić należy.

„Nie naszą rzeczą dyktować narodowi, co ma czynić, by w walce z przemocą i wyrokiem śmierci — zwyciężyć.

„Możemy jednak w gawędce naszej poruszyć jedną strunę, której brzmienie wprawdzie dla jednostek jest nader miłe i przyjemne, lecz dla narodu śmiertelnie szkodliwe.

„Struna samolubstwa.

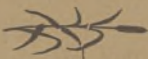
„Cóż ona nam wydzwoni?...

„Pogrzebową melodyę przyszłości.

„Gdzie ona na arfie życia istnieje — tam nieszczęścia blady cień wlecze się za tem „dzisiaj“, które nic nie sieje dla „jutra“, a wszystko tylko w siebie chłonie.“

Wśród zwątpienia jednak prześwieca myśl o tem, że i słowem budzi się ducha, więc siejmyż te myśli podniosłe, demaskujmy samolubstwo i egoizm, pokażmy, jak one toczą korzenie życia narodowego, walczmy *prawdą i światłem*.

B. M.



Głosy od Przyjaciół.

Nowasól nad Odrą, 30. 9. 1900.

O ile mi wiadomo, to prócz mnie trzyma tu jeszcze dwóch *„Pracę“*, a reszta tutajszych Polaków to niech im Pan Bóg tego nie pamięta, wstydzą się przy innych po polsku mówić; na przykład jest tu prosty chłop polski, nazywa się Józef Bananek, ma Polkę za żonę, a oboje nie umieją po niemiecku tylko tak mówią, jakby po gruncie orali, a mają pięciero dzieci. Najstarszy chłopak ma lat 10, a żadne z dzieci po polsku nie umie i też rodzice się wstydzą przed niemi po polsku mówić, bo jak ja do nich przyszedłem to mówię: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus,“ a na to odrzekł mi ojciec tych dzieci: *musich deutsch spreche. Was solle sich die Kinder denke?* A jak tak się gdzie spotkamy, to zawsze po polsku mówimy

Z szacunkiem
Józef Nowacki, blachnierz.

* * *

Katowice, d. 1-go Paźdz.

Szanowna Redakcyo!

Od pewnego czasu zaczęła tutajsza Katowicerka okropnie opiekować się „Pracą“, mnie się zdaje, że widocznie nie ma co umieszczać, bo całe łamy zapełnia artykułami tłomaczonymi z „Pracy“. Nieraz umieszcza też w swych łamach stare dzieje, o których już dawno wszyscy wiedzą. Oto naprzykład pisała przed paru dniami o śp. Janowskim z Krakowa, że umarł, czyli się utopił wczoraj, a to się stało już przed dwoma miesiącami. Doprawdy serdeczny opiekun Polaków jest z tej Katowicerki. Lecz niech ma tę uciechę, „Pracy“ to nie zaszkodzi, a ta Opiekunka może raz otrzymać jaką gratyfikacyą za wspieranie niemczyzny, może raz otrzyma oznakę honorową domu idiotów (jak się nieraz wyraża o polskich dziennikach.) Doprawdy papieru dosyć za te 60 fen. miesięcznie daje, lecz wiadomości, które nieraz sobie wobec Polaków pozwala, by sobie mogła oszczędzić. Jest i takich dzienników opiekuńczych bardzo dużo. Lecz to nas nic nie interesuje, bo im więcej wrogów będziemy mieli, tem silniej się połączymy, a raz zobaczą potwarcy nie 13,000 abonentów, „Pracy“, lecz 30,000 co daj nam Boże! Sercem zawsze jesteśmy bracia, ze sobą, chociaż każdy w innej stronie, trzymajmy się wspólnie a nie zginiemy! Odczuwamy nieraz brak naszych braci, lecz tak musi być. Więc dzisiaj, bracia, zasyłam wam jako żołnierz z pod chorągwi naszej „Pracy“ serdeczne pozdrowienie i całem sercem życzymy „Pracy“ z nad Warty wszelkiego powodzenia.

Z szacunkiem
Czytelnik „Pracy“ i „Czytelni Polskiej.“
Adam Leśniak.

* * *

Z Górnego Śląska, dnia 30. 9. 1900.

Szanowna Redakcyo!

Donoszę Szanownej Redakcyi „Pracy“ o stanowisku, jakie obecnie zajmuje duchowieństwo niemieckie na Górnym Śląsku wobec ludu polskiego. Ze wszystkich stron nastawają na lud polski germanitorzy, chcąc nas pochłonąć w swą paszczękę. Na pierwszem miejscu można śmiało jako germanizatorów postawić nasze duchowieństwo (z kar. Koppem na cele), które coraz więcej podlega szowinizmowi pruskiemu i na każdym kroku lud polski nienawidzi. I jakże może to duchowieństwo żądać od ludu polskiego poszanowania dla siebie i aby lud polski składał swój ciężko zapracowany grosz na zakłady, w których się kszałcą duchowni, którzy potem pracując jako duszpasterze na każdym kroku lud polski upośledzają. Wrocławski *„Posłaniec niedzielny“*, (gazeta przez władze duchowne wydawana) nawołuje bardzo do składek na wyżej wzmiankowane zakłady *a zabrania posyłać pieniądze na budowę lub restauracyą kościołów w Krakowie i Alwernii i uboższych klasztorów w Galicyi, na które nasz polski lud tak chętnie składa*, a niektórzy księża germanizatorzy nawet do Krakowa, do Alwernii itd. jeździć zakazują a na naszego zacnego „Katolika“ i inne całem sercem sprawie polskiej oddane nasze gazety to wygadują, że podburzają lud przeciw duchowieństwu.

Niech szanowna Redakcya wybaczy moje błędy, których niewątpliwie wiele narobiłem, gdyż ja nie jestem uczony pisma polskiego. Życzę kochanej „Pracy“, aby w tym jubileuszowym roku drugie 12000 abonentów znalazła.

Pozostaję zawsze wiernym przyjacielem i czytelnikiem naszej kochanej „Pracy“. *J. M.*

* * *

Dysseldorf.

Czytelnicy „Pracy“ przypominają sobie zarzuty z numeru z dnia 22-go kwietnia, jakie korespondenci nasi dysseldorfscy postawili niejakiemu panu Bochińskiemu, oskarżając go wprost o szkodzenie sprawom Towarzystw polskich.

Obecnie otrzymujemy od pana B. wytłomaczenie się, którego od niego żądaliśmy.

Wytłomaczenie to według nas nie jest dość wystarczającem, ponieważ szczegółowo na zarzuty postawione pan B. nie odpowiada, natomiast ogólnikowo tylko oświadcza swe przywiązanie do sprawy polskiej.

W imię bezstronności zamieszczamy wspomniane wytłomaczenie, nadmieniamy jednak, że ogólnikowe zapewnienia nam nie wystarczają: jeżeli pan Bochiński czuje się rzeczywiście dobrym Polakiem i chce, abyśmy go publicznie za takiego uważali, to *niechaj przez nadesłanie nam listu pisanego po polsku przez jego dzieci, da nam dowód, że dba o wychowanie narodowe dla nich i — jest Polakiem.*

Również oświadczamy każdemu, mianowicie z obczyzny, zkąd najczęściej nadchodzą wzajemne oskarżania się o brak poczucia narodowego, że *tylko tego uważać będziemy za Polaka, czyje dzieci dać będą mogły dowód szczerze polskiego wychowania.*

A teraz list pana Bochińskiego:

Szanowna Redakcyo!

Przed $1^1/_2$ rokiem zostałem przewodniczącym Towarzystwa „Polonia“, ale ponieważ było w tem Towarzystwie moich 5-ciu przeciwników, którzy się okropnie do steru przewodnictwa rwali, więc zaczęli drugich członków przeciw mnie burzyć; tak że byłem zmuszony po coś 6 czy 7 miesięcznem przewodnictwie mój urząd złożyć. Wtedy został p. Minicki przewodniczącym i mnie zaraz po swojem krótkiem urzędowaniu kazał z Towarzystwa wykluczyć bez żadnego powodu. Tak wtedy cóż miałem robić? Chcąc pracować dla sprawy naszej, przystąpiłem do założenia nowego Tow., aby przynajmniej być w jakiemś Towarzystwie. Z tego powodu powstała taka obraza na mnie. Jeszcze nam do tego tyle przyrządzili, że na każdem posiedzeniu mamy policyanta i jesteśmy dozorowani na każdym kroku. Więc zamiast zgody i jedności między Polakami, panuje teraz niezgoda. Ale sami sobie zaszkodzili, bo i oni policyanta na posiedzeniach mają. — Mojem zdaniem na tylu Polaków, co w Dysseldorfie jest, mogłyby nie trzy, ale przynajmniej 6 Towarzystw istnieć, a wszystkie powinny się popierać.

Więc upraszam Szanowną Redakcyą z mego pisma treść podać do wiadomości publicznej.

Pozdrawiam Szanowną Redakcyą.

Z szacunkiem

Józef Bochiński.

Przewodniczący Tow. polsk. „Gwiazda.“



Katechizm polskiego dziecka.

— Kto ty jesteś?
— Polak mały.
— Jaki znak twój?
— Orzeł biały.
— Gdzie ty mieszkasz?
— Między swemi
— W jakim kraju?
— W polskiej ziemi.
— Czem ta ziemia?
— Mą Ojczyzną.
— Czem zdobyta?
— Krwią i blizną.
— Czy ją kochasz?
— Kocham szczerze.
— A w co wierzysz?
— W Polskę wierzę!
— Coś ty dla niej?
— Wdzięczne dziecię.
— Coś jej winien?
— Oddać życie.

Władysław Bełza.





(Michał Bałucki: „Sprawa kobiet.“ Zygmunt Przybylski: „Dzierżawca z Olesiowa.“)

Jeszcze się te wędrowne ptaki nie przyzwyczaiły do siebie wzajem, nie zgrały ze sobą: ztąd braknie jeszcze czasem harmonii całości a nastrój nie należycie wyzyskany. — Pod wprawną ręką p. Rygera skojarzy się zapewne wkrótce grono młodych sił w trupę wyszkoloną. — Tembardziej, że są w niem jednostki, w których przy braku scenicznej rutyny są przymioty będące zapowiedzią scenicznego talentu.

Brak właściwego nastroju szczególnie w sobotniem przedstawieniu („Dzierżawca z Olesiowa“) uczuć było można. — Wszyscy ci wiejscy sąsiedzi w interpretacyi artystów naszych robili wrażenie wcale nie obywateli wiejskich.

Pomimo to biło ze sceny to swojskie ciepło rodzimego humoru polskiego i polskiego życia. Dobrze uczynił p. Ryger, że nam na początek dał sztuki naszych autorów. Cóż nas obchodzą salony paryskie albo niemieckie knajpy, — wychodzimy z przedstawienia podniesieni lub rozśmieszeni, ale nie z tem ciepłem w duszy, jakie czerpiemy ze sztuk naszych. O mamy dzięki Bogu swojski repertoar dosyć bogaty, aby publiczność zadowolić. — Gdyby ta publiczność tylko korzystała z własnej sceny.

„Sprawę kobiet“ odegrano raźno. — Pokrótce treść: p. Jacek (p. Lochman), właściciel ziemski, wdowiec, ma to szczególne nieszczęście, iż otoczony jest kobietami, chorującemi na uczoność i emancypacyą kobiet. Siostra jego (p. Królikowska), stara panna, przewróciła dom jego do góry nogami. — Sama zajęta ciągle propagowaniem emancypacyi kobiet, którą rozprzestrzenia nawet między wiejskimi Bartkami i Maryśkami.

Niedosyć na tem; zakłada ku temu na wsi towarzystwo oświaty ludowej i czyni ekonoma Skwarka (p. Czerniak) swoim sekretarzem. Poczciwy ekonom popada odtąd w manią pisania wierszy i pozowania na uczoność. — Rozumie się, że na tem najbardziej gospodarstwo cierpi. — Ale dzieją się jeszcze gorsze rzeczy. Córka p. Jacka (p. Mirska) zarażona również manią uczoności. — A ponieważ znajduje się w domu guwerner (p. Wysocki) panicza, człowiek młody, pełen talentu i gorącego serca, — więc spotykają się dwie siostrzane dusze: panna i guwerner, rozkochują się w sobie i w końcu zaręczają. — Panna z guwernerem czyta Spencera i Brendesa, a nauka chłopca idzie w las. — Tymczasem przyjeżdża do domu tego szwagier p. Jacka (p. Szczurkiewicz) z córką Zofią (p. Golińska). Panna Zosia napełnia cały dom odrazu gwarem i wesołym śmiechem; bierze we własne posiadanie klucze od apteczki i przemyśliwa nad śniadaniem i obiadem dla wuja i ojca. — Szczególnie jednak troszczy się o młodego guwernera, pana Kaźmierza. W sam czas zjawia się także młody synowiec Bolek (p. Okornicki), który kiedyś przebywał u p. Jacka a obecnie służy wojskowo. Dzielny wojak podbija serce młodej kuzynki sensatki i rzecz kończy się w ten sposób nader pomyślnie dwoma małżeństwami: p. Kaźmierza z Zosią i Bolka z młodą emancypantką.

Wybornie grali p. Królikowska i p. Czerniak, który coprawda popadał czasami w przykrą szarżę. P. Okornicki wyrobił się znakomicie. Nie jest to aktor, który zbytnio zastanawia się nad stroną psychologiczną roli, ale daje wdzięczną całość i zwięzłością swoją osięga często effekta komiczne. — P. Golińska to pewno ukryty prawdziwy talencik, trzeba tylko, aby nauczyła się trzymać na wodzy swój temperament. Zato p. Mirska nie wyglądała wcale na pannę, dla której rozgorzeć zdolne serce wojackie. — P. Lochman miał szczęśliwe chwile, zwłaszcza w ostatnim akcie.

Premierę: „Dzierżawca z Olesiowa“ odegrano z wielką werwą, a pominąwszy obniżone zbytnio niveau społeczne i konieczne usterki wobec tych młodych sił — całość była bardzo udatna. Podziwiać tu można ogromną zdolność reżyserską i wielką pracę p. Rygera. — Treść następująca: Niezupełnie młody p. Zadorski (p. Szczurkiewicz), obywatel ziemski, człowiek nadzwyczajnie poważny i czcigodny ma młodą śliczną żonę (p. Krajewska). Mieszka u nich siostra jej (p. Teodorowicz). Do tego zacisznego domu wchodzi młody dzierżawca (p. Knapczyński) Władysław Czerski. — Poznał on panią domu gdzieś w okolicy i zaproszony zjeżdża do Zadorskich razem z całą kalwakadą gości z sąsiedztwa. — Młody dzierżawca, któremu stryj wypuścił majątek w dzierżawę, słynie jako dzielny gospodarz a zarazem jako ogromny kobieciarz. Ma ten błąd przyrodzony, że podobają mu się ogromnie mężatki. — Oczywiście wpada mu odrazu w oko piękna p. Zadorska.

Pomimo tych wad cała okolica rozchwytuje go, a chociaż w salonie jest nieco mało wytworny, państwo Rafalscy pragną go koniecznie ożenić z córką swą. — Młody urwis bywa często u Zadorskich ku ogromnemu zgorszeniu pań z okolicy — i p. Zadorskiego, który obawia się o młodziutkie jeszcze serce żony. — Przychodzi wskutek tego między nimi do nieporozumienia. — Pan dzierżawca przestaje bywać. — Tymczasem czynimy dwa wielkie odkrycia: p. Czerski nie kocha się w pani Zadorskiej ale w siostrze jej — a panna sprzyja mu najzupełniej — Wobec tego p. Zadorski przeprasza młodego sąsiada. Tenże przyjeżdża, oświadcza się o pannę, a właściwie wskutek nowej pomyłki wyznaje ona jemu pierwsza swoję miłość, mniemając, że on już oświadczył się Zadorskiemu o jej rękę i — koniec.

Rzecz napisana z werwą. — Mnóstwo wybornych epizodycznych postaci. Akcya postępuje ciągle i zawsze jest zajmująca, dialog żywy. — Sam typ młodego dzierżawcy przepyszny: człowiek z krwi i ciała, do jakich tęskno po wymokłych bohaterach dekadenckich romansów.

P. Knapczyński odtworzył ten typ sympatycznie chociaż czasem dziarskość jego popadała w gburowatość. — P. Słubicka była wyborna jako gospodyni dworska. Z nowych sił zdaje się być p. Teodorowicz sympatyczną liryczną. — Zdaje się, że przeszkadzała jej nieco trema, nad którą z początku trudno jej było zapanować. — Gdyby tylko mniej po-

dawała się naprzód i pamiętała o ładnych liniach postaci, możnaby się po niej spodziewać miłych kreacyi.—P. Niwińska bardzo pewna siebie, ale popadła czasem w niemiłą przesadę. P. Krajewska w chwilach nerwowego podniecenia była dobra, chociaż włożyła niepotrzebny pierwiastek do roli: była z początku zakochaną w Czerskim i wątpię, czy autor tak chciał.

Wogóle już dzisiaj przepowiedzieć można kilku młodym siłom sceniczną przyszłość. *Alfa.*



Musisz kochać.

Próżno, śląc w niebo oczy i westchnienia,
Aniołom tęskną użalasz się mową,
Próżno, upadłszy na pierś Chrystusową,
Całujesz ręce i stopy z kamienia;
Próżno, gdy płyną kadzidła i hymny,
Chcesz z niemi sercem ulecieć wysoko;
Próżno na chmurach wieszasz błędne oko,
Próżno, płonąca, kamień ściskasz zimny!—
Ani przy modłach krótkie wniebowzięcia,
Ani cię zbawią podobłoczne loty:
Lilia w noc letnią rzuca płaszcz swój złoty,
Dziewica rzuca białe sny dziecięcia.
A taka siła w tym bożym wyroku,
Że jej przełamać nikt z ludzi nie zdoła;
Gwiazdy wprzód strąca z dziewiczego czoła,
Potem strąconym każe płonąć w oku.
I nie otwarcie walczy, lecz zdradziecko,
I kiedy schodzi, nie wstrzymać jej w locie,
Przyjście jej dusza czuje po tęsknocie,
Przez nią w człowieka olbrzymieje dziecko.

Choćbyś tytanów myśli miała dumne,
I tę moc, która śmiertelnego trwoży,
Bezsilna padniesz, kiedy wyrok boży
Każe ci wybrać: miłość albo trumnę.
Pocóż na licach ta Pallady maska?
Pocóż na sercu ten puklerz ze stali?
Jeśli pierś z drewna, namiętność ją spali,
A jeśli z głazu, roztrzaska!

Wiktor Gomulicki.



Z ojczystych stron.

XXX.

Mosina.

„Skarby chowa ziemia lacka
„I piękności, co Bóg stworzył...“

Mosina, (dawniej Moszyń, Moszczyń, Mossina, Moszyna) leży nad rzeką Mosinką, prawie naprzeciwko Rogalina. Na początku XIV wieku było to już miasto, należało zaś do Palatyna poznańskiego, Mikołaja, który w r. 1303 kazał urządzić w niem wszystko na sposób niemiecki. W r.1358 należała Mosina znowu do jakiegoś Mikołaja i jest to prawdopodobnie ową Moszną, którą w r. 1392 podarował Władysław Jagiełło Piotrowi w nagrodę za oddane krajowi usługi. Ale niedługo potem dała miasto królowa Jadwiga Przedpełkowi Staszowi, w r. 1429 zaś oddał je król jako dożywocie Piotrowi z Bnina. Stosunki własności albo dożywocie nie musiały być zupełnie wyjaśnione, bo w r. 1445 pragnął król zamienić z Ulrykiem z Drezna Mosinę na inne miasto. Ale można wówczas familia Górków, w której posiadaniu Mosina była, oparła się pewnie temu, bo w r. 1450 zapisał miasto król Kazimierz Jagiellończyk Maciejowi z Bnina, który odtąd przybrał nazwisko Moszyński. Oprócz miasta otrzymał Maciej jeszcze kilkaset złp. W r. 1557 nastąpił podział majątku rodziny Moszyńskich i wtedy stała się Mosina własnością Stanisława Górki.

Miasto posiadało również 2200 mórg lasu, z tego zaś przywłaszczył sobie znów starosta Czarnecki dosyć wielką część, tak samo, jak i kilka domów w mieście. Obywatele wytoczyli mu proces, który trwał długie lata i skończył się korzystnie dla starosty. Z drugiej znów strony świadczyli Kęszyccy miastu znaczne dobrodziejstwa — kazali brukować ulice, wznosili groble i podarowali je miastu, również jak i mosty, z których podatek bierze do dziś jeszcze kasa miejska w ilości 935 mrk.

Najładniejszą ozdobą Mosiny jest obszerny rynek, otoczony dwoma rzędami



Rynek w Mosinie.

drzewek, i będący ulubionem miejscem zabawy dziatek.

W r. 1429 nadał Władysław Jagiełło miastu prawo odprawiania dwóch jarmarków i to w dniu św. Urbana i w dniu św. Mikołaja, oraz co tydzień jednego targu. Równocześnie nadał Mosinie prawo magdeburskie w sprawach cywilnych i karnych. Dokumenta te potwierdzali wszyscy prawie królowie polscy, aż do Stanisława Augusta, który pozwolił na odprawianie 5 jarmarków.

Położenie Mosiny bardzo było korzystne, przechodziły tędy bowiem trzy drogi, pocztowa, wojskowa i droga bita. W r. 1793 liczyło miasto 419 mieszkańców i 73 domów, z których żaden przecież nie był murowanym. Pomiędzy mieszkańcami było 24 lutrów i 20 żydów.

W r. 1606 wymierzono ziemie, należące do miasta i ustanowiono granicę od jeziora sowinieckiego aż do ówczesnego trzeciego kopca granicznego, tworzącego przedział pomiędzy terytoryami, należącemi do Mosiny, Sowińca i Niwki. Ale starosta Czarnecki i starosta Kęszycki, mieszkający w Sowińcu i w Krośnie, przywłaszczyli sobie część lasu, będącego własnością miasta, łąki, tak zw. „błota“ i kawał ziemi, t. zw. „Pachołki.“ Miasto, mające obowiązek dostarczenia w razie wojny jednego żołnierza, przeznaczyło pewną część ziemi na utrzymanie i uzbrojenie owego żołnierza i nazwało ziemię tę „Pachołkiem“, starosta Kęszycki zaś, chcąc koniecznie posiąść tę urodzajną rolę, przyrzekł miastu, że w danym razie on sam stawi żołnierza, byleby mu tej ziemi odstąpiono. Ale gdy potem wybuchła wojna i obywatele upomnieli się o dotrzymanie słowa, wzbraniał się Kęszycki nietylko wykonać przyrzeczenia, ale nadto kazał na granicy Niwki ściąć drzewa graniczne, zasadzić je znacznie dalej na gruncie miejskim i zagroził każdemu, ktoby się o prawa miasta upominał, zastrzeleniem.

Z powodu zaburzeń wojennych uszły mu bezprawia te bezkarnie. Wówczas należały do Mosiny też jeszcze wsie Baranowo i Żabno, można więc z tego osądzić, jak obszernemi były ziemie należące do Mosiny.

Dawniej należała Mosina do powiatu kościańskiego, później do śremskiego. Najwyższym urzędnikiem był burmistrz i dwóch asesorów, oprócz tego był stróż nocny i woźny, ale z tego nie miał burmistrz pociechy, bo „będąc kumotrem całego prawie miasta, nie mógł sumiennie wykonywać swoich obowiązków!“ Dochody urzędników nie były wysokie, to też, jak pisze kronikarz w r. 1816, „od 30 lat nie umarł żaden urzędnik jako człowiek uczciwy.“ Jeden po drugim uciekał, zostawiając długi, albo też karano ich za sprzeniewierzania się i t. p.

W Krośnie znajdował się urząd pocztowy, i dopiero w r. 1839 przeniesiono go do Mosiny, ustanawiając ówczesnego burmistrza Głogowskiego, poczmistrzem. Żwirówki nie ma Mosina do dziś jeszcze, co istotnie można jako nadzwyczajność uważać, ale za to leży nad linią kolejową, a droga wiodąca z dworca do miasta jest jedną z najładniejszych, jaką widzieć można w całej tej okolicy.

Ewangelickiego kościoła nie ma w Mosinie, tylko w Krośnie, a starosta mosiński i wojewoda gnieźnieński, Franciszek Ksawery Kęszycki, pozwolił lutrom na swojem terytoryum wybudować kościół w r. 1786. Dał im drzewo, zwolnił ich od podatków i złożył fundusz potrzebny na utrzymanie nauczyciela i pastora.

Dwa kościoły katolickie były w Mosinie, i to kościół parafialny, na miejscu którego stoi obecna nowa świątynia, i kościół św. Stanisława na rynku. W około tego kościoła leżał cmentarz. W r. 1816 trzeba było świątynię tę znieść, groziła bowiem upadkiem, tak ją zniszczyli rosyjscy żołnierze, podczas wojen francuzkich. Kto był fundatorem kościoła św. Stanisława, tego nie wiadomo, jak i tego, kiedy został wybudowanym.

W końcu wspomnieć jeszcze należy o uroczej i romantycznej okolicy Mosiny. Poza miastem ciągną się lasy, należące dziś do rządu i jeziora, z których najpiękniejszemi są: Skrzynka i jezioro

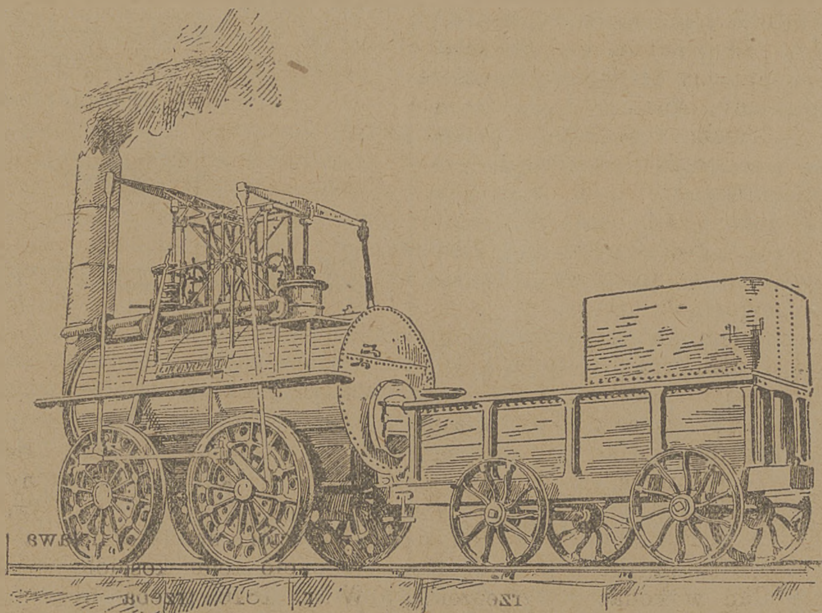
Górka. Pierwsze mianowicie, w dolinie, otoczonej pagórkami, bardzo piękny przedstawia widok. Podług podania ludowego znajdują się w niem wielkie skarby, jedna bowiem z bogatych pań, uciekając z wszystkiemi swemi klejnotami przed Szwedami, utopiła się tutaj. Jezioro budzyńskie jest także wielkie, a w blizkości jego są dobrze jeszcze zachowane szańce szwedzkie. Na jeziorze Górka znajduje się mała wysepka, zarosła rozmaitemi drzewami, pomiędzy którémi stoi mały pałacyk, wybudowany przez hr. Bernarda Potockiego z Trzebawia. Ale pałacyk ten jest dziś już nieomal ruiną, ponieważ spadkobierca hr. Potockiego hr. Tytus Działyński, nigdy tam nie mieszkał. Okolica tutejsza jest tak piękną i malowniczą, że grono kapitalistów zakupiło większy obszar ziemi i wybudowało wille na letnie mieszania dla osób, pragnących w ciszy przepędzić kilka tygodni. Nie będziemy więc potrzebowali tracić pieniędzy na podróże do Turyngii i gór kruszczowych, z których okolicami otoczenie Mosiny śmiało się równać może. Ale czy nie znajdą się tacy, którzy pomimo to będą woleli wydać większe sumy, byleby się nazywało, że przepędzili lato „zagranicą“ a nie „w Mosinie“ — o tem właściwie wątpić nie można.

Kronikarz „Pracy.“



Siedemdziesięcioletni jubileusz lokomotywy.

Dnia 27 września 1825 r., a więc przed 75 laty, dowiódł znany angielski wynalazca Stephenson, że przewożenie wielkich ciężarów jako i osób z nieznaną dotąd szybkością za pomocą pary, nie jest nietylko możliwem, jak to ówczesne próby już wykazały, ale nadto o wiele tańszem, niż za pomocą wszelkich

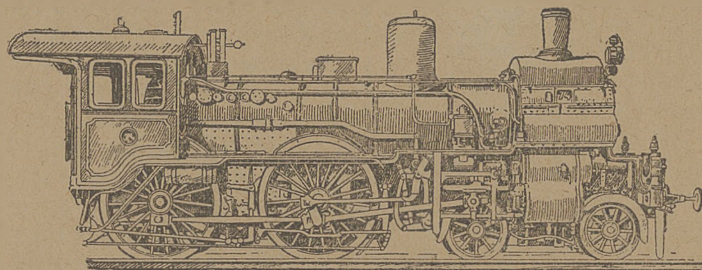


Pierwsza lokomotywa pociągu osobowego, wynaleziona przez Stephensona 27. 9. 1825 r.

innych środków. Lokomotywę, którą doświadczenie to wykonał, widzą czytelnicy nasi na załączonej rycinie, podczas kiedy dla porównania znajduje się na drugiej rycinie niemiecka lokomotywa pociągu błyskawicznego, która była wystawioną na tegorocznej wystawie paryzkiej. Dla wyjaśnienia podajemy w krótkich słowach historyą budowy lokomotywy:

Właściwym twórcą lokomotywy koleji żelaznej jest Jerzy Stephenson. W r. 1817 zbudował on dla huty żelaznej Kilhingworth koło Newcastle pierwszą lokomotywę, po której wkrótce nastąpiły inne, 2 z prostopadłymi cylindrami parowymi, z których każdy bez wahadła działał bezpośrednio na oś pędową, i których kurba przestawioną była o 90^0. Niedługo potem użył zamiast kół zębowych, wywołujących nieregularne poruszania na niedostatecznych szynach, łańcucha nieskończonego do połączenia trzech osi pędowych. Podobne lokomotywy zostały użyte w r. 1815—1822 do wywożenia węgli w kopalniach Sunderland, lud wiejski zaś nazwał je „żelaznemi końmi“ (iron horses). Ale te machiny pracowały drożej, niż konie. Dopiero w r. 1825 udało się Stephensonowi, gdy już 5 lat wcześniej skonstruował szyny walcowe z kutego żelaza (aż do 5 metr. długości,) z pomocą swego syna Roberta, zbudować lokomotywę, która przy czynności o wiele większej wymagała o wiele mniej kosztów, i której użytek okazał się rzeczywiście znacznie tańszym, niż używanie koni. Za tę lokomotywę zyskał Stephenson dnia 27-go lutego, na linii Stockton-Darlington, ogólne uznanie, i teraz nowy sposób komunikacyi zwrócił na siebie uwagę najdalszych nawet kół publiczności. Gdy korzyść i taniość lokomotywy była już dowiedzioną, zaczęła wielka część fabryk machin budować lokomotywy, a postępy, jakie technika na tem polu osięgła, były nadzwyczajne, tak, że nasze dzisiejsze lokomotywy, zaopatrzone w wszystkie nowoczesne ulepszenia, są prawdziwemi wzorami doskonałości.

Podana na rycinie, dla porównania z dawniejszą, lokomotywa pociągu błyskawicznego, została zbudowaną w warsztatach Borsiga w Tegel, pod Berlinem. Może ona pędzić pociąg pospieszny z szybkością 100 klm. na godzinę, a z powodu tak nadzwyczajnej siły parowej,



Najnowsza lokomotywa pociągu błyskawicznego, wystawiona na tegorocznej wystawie paryzkiej.

musiał być odpowiednio wielki kocioł parowy zbudowany. To też machina ta ma ogromną długość 11 metrów. Zupełnie nowym jest, przy tej lokomotywie, umieszczony pod kominem przegrzewacz, składający się z systemu rur, leżących w komorze przeznaczonej do dymu, a mający powierzchnią ogrzewania obszaru 28 metr. kw. System rur zamienia całą, nagromadzoną wodę w parę i nietylko, że zużywa uchodzące niepotrzebnie przez komin ciepło, ale nadto zapobiega nieprzyjemnemu pryskaniu lokomotywy. Machina ta jest przeznaczona dla królewskiej dyrekcyi kolei w Berlinie. Podróż z Berlina do Halli (161 kilm.) odbyłaby w niespełna dwóch godzinach.

M. P.



Z legend o Matce Boskiej.

Po cierniowej drodze.

(Do illustracyi albumowej).

Gdy chłodna jesień, poprzedniczka zimy, rdzawić zaczyna swojem tchnieniem kwiaty i zwiędłe liście już z gałęzi strąca, Najświętsza Panna przez nadziemskie światy płynie w obłokach, blaskiem promieniąca...

I wonczas niebu znów przybywa krasy; zda się, że słonko w letnią kolej wraca, spłowiałe łąki, poczerniałe lasy swojem spojrzeniem czarownem wyzłaca.

Królowa niebios płynie, jako prządka i zamiast berła prostą kądziel trzyma; zanim z obłoków spadnie biała zima, Ona, jak macierz dbała o dzieciątka, idzie policzyć duszyczki niebogi, co się pod Raju ogrodzeniem tulą i upatrują wśród cierniowej drogi, aby do niego wcisnąć się ukradkiem i choć najlichszym wyrosnąć tam kwiatkiem.

Wstępu im bowiem do Raju nie dają, jeśli pomarły nieochrzczone jeszcze i pierworodny grzech je dotąd plami; więc za rajskiemi kulą się wrotami i drżące z zimna wyczekują łaski.

Dla nich to Marya, Pani litościwa, cienką nić przędzie, a z tego przędziwa anioły potem tkają giezła miękkie i rozwieszają one na błękicie, niby na polu

płótna bieluteńkie, by zmarłe dziatki miały z nich okrycie.

Także sierotkom nagim, opuszczonym, Mateńka Boża swej pracy nie skąpi i w dnie jesienne na obłokach przędzie.

Więc drżącym dziatkom w zimie ciepło będzie.

Błogosławionaś Ty niebios Panienko, Pani litośna i litości wzorze!... gdy przez niebieskie przepływasz przestworze, by pracowicie snuć swą nitkę cienką, i widzisz z góry, z tronu obłocznego, że tu na ziemi serca niepamiętne na ludzką nędzę patrzą obojętne, — Ty Miłosierna znieść nie możesz tego; zrywasz garść przędzy i rzucasz ją na dół, jak upomnienie swe na ziemski padół, a wiatr ją nosi w powietrzu i snuje, przed oczy ludzi zwija i rozwija i zda się splatać w tajemnicze głoski:

„Otom ja przędza samej Matki Boskiej!... dla biednych sierot snuję się z kądzieli, pomnijcie ludzie, byście litość mieli i tu sierotkom nie szczędzili serca!...“

I cienka nitka z zaziemskiego świata, co tam od nieba aż ku ziemi sięga, około ludzi sama się oplata i z sobą serca miłosierne sprzęga, a że ją Matka Boska miała w ręce, więc jak talizman szczęścia z niebios spływa; — kogo się czepi choć cząstka przędziwa, ten polecony Najświętszej Panience w dniu onym z ducha pogodniejszym bywa: takiemu jedna choć chwila szczęśliwa zdarzyć się musi w ciągu doby całej.

Gdy babie lato uśmiechnie się światu, zaraz się jaśniej człowiekowi robi i wśród jesieni ma wiosenne złudy; zanim zimowe obsypią go grudy, raz jeszcze w słońcu rzeźwiejszy się czuje...

A tylko pająk swym się jadem truje i patrzy w górę z zawiścią ukrytą, bo jego Pan Bóg skarał za zuchwałość, że taki mały miał tak wielką śmiałość Panience Świętej sprzeciwiać się kiedyś i z grzeszną dumą miał rozgłaszać wszędzie, że on od Maryi Panny cieniej przędzie.

Za brzydką zawiść i za czelną pychę odtąd prowadzić musi życie liche, kryć się po kątach, mieszkać po ruinach i prząść swą siatkę z marnego przędziwa, którą podmuchem lada wiatr rozrywa.

Niebiańska prządka, Pani w niebo wzięta o ludzkich sprawach na ziemi pamięta; umyślnie spuszcza długą nić z wrzeciona, kiedy jesienne rozpoczną się mroki, by gospodarnym przypomnieć niewiastom kądziel na długie zimowe wieczory i koło domu staranne zajęcia.

Więc gdy na pola pierwszy śnieg się zwali, po chatach ogień na kominach błyska, smolne łuczywo iskierkami pryska, a gdy się w płomień wesoły rozpali, w koło dziewuchy przy kominie siędą i złote pieśni z szarą nicią przędą.

A między jedną piosenką a drugą, gdy dopalonych głowien żar przygaśnie, starsza prząśniczka opowiada baśnie, to o Madeju z zbójecką maczugą, to o królewnie czarami zaklętej, to o trzech braciach, co poszli na boje, a gdy wyprzędzie wszystkie bajki swoje, rzecze:

— A teraz o Panience Świętej powiem wam jedną powieść już prawdziwą, skąd mamy płótno i kto dał przędziwo.

Tu się przeżegna, jakby przed modlitwą, odepnie kądziel i wrzeciono składa i zasłuchanym dziewkom opowiada:

Ogród warzywo, sad owoce dawał, a z czarnej roli biały chleb się rodził.

W chatce kmieć mieszkał, co za pługiem chodził, z żoną staruchą i córką dziewuchą i jakoś im ta — chwalić Pana Boga — nie bardzo ciężką była w wieczność droga.

Ale kmieć stary zachorzał obłożnie, bo zły wiatr jakiś na ziemię nim śmignął; jak legł w pościeli, tak się już nie dźwignął i gdy nie było na chleb orać komu, bieda i lament zagościły w domu. Odłogiem stała niezasiana rola, u drzwi i okien czyhała niedola.

Każdy dzień gorszy dla niebożąt świtał...

Jedna dziewucha nie traciła ducha i do Najświętszej modliła się rzewnie, rano i wieczór niebieskiej Królewnie oddając ojców w opiekę i siebie.

A Pan Bóg słuchał z Matką Boską w niebie.

— „Panie Przedwieczny, wszechmogący Boże, oto niegodna przed Twym tronem stoję, nie daj nam zmarnieć, święć się imię Twoje!... ojca i matki lituj się starości, nie skąp im chleba Swego powszedniego, Tyś Pan, Tyś Mocarz, Tyś jest Król światłości, źdźbło trawy nie schnie bez rozkazu Twego, bez wiedzy Twojej liść z drzewa nie spada, jeno się pierwej Tobie opowiada. Przecież Ty nie dasz, aby bez powodu ojcowie dziecku umierali z głodu! Oto ja córka za ich życie stoję...

„Bądź wola Twoja, przyjdź królestwo Twoje!...“

Tak się bywało naprasza dziewucha, a Pan Bóg w niebie z Matką Boską słucha.

Raz — ci usnęła dziewczyna z północka, przy chorym ojcu czuwająca; aż tu jej we śnie schodzi Matka Boska i białą lilią dziewuchę potrąca i rzecze do niej:

— Nie frasuj się dłużej, ja się żałości twojej ulituję i pocieszenie przyniosę ci w smutku. Spojrzyj, te kwiatki znajdziesz w swym ogródku jutro, gdy słonko zabłyśnie na niebie; modremi oczy popatrzą na ciebie, cienkiemi prątki z ziemi się podniosą i świecić będą brylantową rosą. Narwij tych kwiatków dużo, dużo, dużo, a one tobie dobrze się przysłużą i znajdziesz skarb w nich i będziesz bogata i dobrodziejstwo weźmiesz z nich dla świata!...

Dziewucha patrzy i dziwi się wielce, a nie śmie przerwać Bożej Rodzicielce i nie śmie spytać, jaki to pożytek dać mogą kwiatki z modremi oczyma, które Najświętsza w Swojej dłoni trzyma.

Na drugie rano do ogródka bieży; patrzy i własnym oczom nie uwierzy...

Kędy ci spojrzy na wczorajsze grzędy, drobnego kwiecia jakby nasiał wszędy; kwiatek maluchny, a łodyżka długa kłoni się do niej i jak żywe mruga i zda się wołać: „A rwijże mnie żywo, jako ci Matka Najświętsza kazała!...“

Ale dziewczyna osłupiona stała, patrząc na takie niepojęte dziwo i załamała ręce i w płacz!...

— Boże, Boże, a któż mi biednej radą dopomoże!... mam ci ja skarby pono z łaski nieba, a nie wiem, jak się zabrać do nich trzeba.

I przepłakała cały dzionek prawie.

Nocą w komorze usnęła na ławie i niby śpi to, niby jeszcze czuwa...

Naraz — o Jezu! — widzi, jak do chaty przyleciał anioł śliczniutki, skrzydlaty, a za nim drugi, a za drugim trzeci, i czwarty, piąty, i dziesiąty leci, i pełna izba robi się aniołów; naprzynosili jakichś kółek, stołów, nicianych motków, przędzy, kołowrotków i nuż się krzątać, nuż warsztat zakładać.

W mig ustawili wszystko, jak należy, a wtedy w progu u otwartych dźwierzy stanęła sama Przeczysta i rzeknie, rzuciwszy okiem pilnie na wsze strony:

— Bóg z wami!... niechaj będzie pochwalony!...

A aniołowie odrzekli:

— Na wieki!...

Potem Najświętsza, co króluje światu, podeszła zwolna sama do warsztatu i tym aniołom, co koło Niej stali — kazała, aby płótno przy niej tkali i przywołała dziewczynę i mówi:

— Patrzaj ty jeno i uważaj sobie, jako ja pasma z onych nitek robię.

I sama nitkę zadzierzgnąwszy cienką, wraz po warsztacie puściła czółenko i tkała cudne płótno przy dziewusze, ucząc ją tkactwa paluszkami swemi.

Dziewczyna przy Niej uklękła na ziemi, rączki złożyła niby mówiąc pacierz, a nad nią jaśni stali aniołowie...

Więc jako córę swoją uczy macierz, tak Matka Boża uczyła dziewczynę, jak ma hodować tę wiotką roślinę, co modro kwitnie, a co lnem się zowie, jak ma ją potem przerabiać na przędzę, a z przędzy płótno tkać równe i białe, by niem okrywać z chłodu drżącą nędzę...

Całą noc w kmieciej przesiedziała chacie litośna Pani w Swoim majestacie i aż nad ranem, gdy zapiały kury, z Swoją asystą wzniosła się do góry; dziewczyna skromnie na klęczkach została, jako lilijka pochylona biała, a że z niej córka na wzór innym była, z pierwszego płótna, co sama utkała, ojcu i matce koszule uszyła.

Bóg błogosławił dziewczęcej robocie, — robiła płótno, a chodziła w złocie...

Maryan Gawalewicz.



Złote myśli.

Kto zanadto wymowny, mężny i zuchwały przed bitwą, tego trzymajcie jak przyjdzie do dzieła, bo pewnie — ucieknie.

A. Fredro.

To jest dla mężnych pociechą jedyną,
Kiedy nie w łóżku, ale w polu giną.

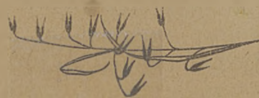
Potocki.

Męstwo wodza czyni wojsko mężnem.

Staszic.

Lecz choć pogrom z góry runie, mąż
się bardziej w stałość zbroi;
Bije piorun po piorunie, on jak dąb
stuletni stoi.

Kamiński.





CZĘŚĆ TRZECIA.

KRWAWY CHRZEST.

Powieść ze zdarzeń ostatnich w trzech częściach.

Napisał

J. Dzierzkowski.

(Ciąg dalszy).

Hrabia Artur dosyć był zadowolony z nowego sługi, rozrachował się z dawniejszym, i hojnym podarkiem zaopatrzywszy go na drogę, dodał:

— Gdybyś mimo sukcesyi, jaką pewno weźmiesz po ojcu, chciał nadal pozostać w służbie, to póki jestem w Dreźnie miejsce u mnie zawsze znajdziesz, bom był kontent z ciebie, mój Fritzu.

Zbytecznem byłoby dodawać, że Fritz Hahn najuniżeńszemi ukłonami podziękował za tak uprzejme, a tak pochlebne dla niego słowa tytułowanego chlebodawcy.

Potem pan Artur wyszedł, a dawny jego sługa pozostał z nowym, ażeby go obznajmić z obowiązkami służbowemi, i zabrać swoje manatki.

Obznajmienie z obowiązkami trwało dość krótko, zabieranie manatków o wiele dłużej, może dlatego, że Fritz Hahn, nie chcąc zapomnieć żadnej drobnostki, która do niego należała, przeglądał najstaranniej wszystkie rzeczy swojego pana, zaglądając nawet do papierów i pieniędzy, które zamknięte były na klucz, a klucz pan Artur zwykł był nosić z sobą.

XVIII.

Dla wiernego sługi nie było w domu jego pana zamków. Zaglądał wszędzie, oglądał wszystko, a na chlubę poczciwości jego dodać należy, że nic sobie nie przywłaszczył.

Nowy sługa Johann, którego nazwiska rodzinnego nie zapisała na swych kartach historyja, nie przeszkadzał mu wcale w tej czynności, przypatrywał się jej tylko, jakby się uczył odbywać ją później na własną rękę.

Potem rozstali się dwaj słudzy, a krótka rozmowa, którą mieli z sobą na pożegnanie, zasługuje, żebyśmy ją tu powtórzyli, rozumie się w przekładzie z niemieckiego języka, w którym prowadzoną była.

— Nastręczyłem wam tedy służbę, panie Johann — mówił Fritz Hahn — służbę korzystną... miałbym prawo do jakiegoś honorarjum za nastręczenie.

Herr Johann sięgnął do kieszeni.

— Nie potrzeba — rzekł, powstrzymując jego rękę Fritz Hahn — a nawet gratyfikacyę, którą mi dał mój pan, ja panu panie Johann oddaję.

To mówiąc Fritz Hahn wyciągnął do Johanna wspaniałomyślnie rękę trzymającą za rożek stumarkowy banknot jakiegoś gerajskiego czy też darmsztadzkiego banku.

Herr Johann oczy wytrzeszczył zdumiony, i lubo sięgał już ręką po dar tak hojny, nie wiedział jeszcze, czy nie za żart ma uważać szczodrobliwość kolegi.

— Bierz pan, panie Johann, bierz pan, — ośmielił go Fritz Hahn — w zamian od pana będę żądał małej przysługi.

— Jakiej, panie Fritz?

— Bardzo łatwej. Po moim wyjeździe przyjdzie tu może list jaki, może parę listów. W kopercie adresowanej do pana będzie list drugi opieczętowany. Otóż ten list oddasz na pocztę i opłacisz, ale bez zwłoki i nie pokazując nikomu. Na koszta ofrankowania i za fatygę zawsze parę talarków załączę.

Herr Johann zapewnił, że nie jeden lub dwa, ale tysiąc lub dwa tysiące listów gotów przesłać na tych warunkach, w co Fritz Hahn najochotniej uwierzył.

— *Also ich empfehle mich, Herr Johann.*

— *Ich empfehle mich, Herr Fritz.*

Dwaj koledzy rozstali się. Fritz Hahn pojechał dorożką na kolej. Zbliżała się już godzina odejścia pociągu.

Stosownie do telegramów, które wysłał, Fritz Hahn powinien był wyprawić na Podole dwie osoby: plenipotenta pana hrabiego i owego Rafała, który przyrzekł swój przyjazd tytularnemu sowietnikowi. Widać jednak, że Fritz Hahn chciał sobie odbić wydatek, jaki poniósł dla swojego kolegi i zastępcy, bo postanowił ich obu wyprawić w jednej osobie.

Kupił tylko jeden bilet drugiej klasy, i sam wsiadł do wagonu.

XIX.

Nie mieliśmy dotąd sposobności poznać pana Wawrzyńca Grzebikowskiego, komisarza głównego wszystkich majętności pana marszałka. Rzecz to bardzo naturalna. Pan marszałek, pamiętny przysłowia, że pańskie oko konia tuczy, zwykł był osobiście wszystkie ważniejsze interesa załatwiać, a komisarza trzymał więcej dla ostentacyi, niż z potrzeby, bo gdyby dziedzic tylu włości, zajmujący tak wysokie stanowisko, obywał się bez komisarza, byłoby to oczywiście ni w pięć ni w dziewięć. Niemiał zatem p. Wawrzyniec Grzebikowski sposobności do wybicia się na widownię w czasach, kiedy się odbywała akcya naszej powieści, i dlatego się z nim nie spotkaliśmy. Był to oficyalista cichy, wiernie spełniający dane sobie zlecenia, uczciwy i sumienny, poprzestający na skromnem stanowisku i skromnej płacy, z której żywił liczną rodzinę. Jednem słowem był to człowiek, który w cieniu wielkości swojego pana nikł zupełnie i niedostrzegalnym być musiał.

W wielkich przewrotach jednak wypływają na wierzch mali ludzie, a w Łaszczyńcach, gdzie nie byliśmy od tak dawna, zaszły wielkie przewroty, tem groźniejsze, że się na nic nie zanosiło wcale.

Pewnego pięknego poranku, kiedy marszałek wypoczywał sobie spokojnie po kawie, i snuł widać w głowie wielkie projekta, bo jego wybałuszone oczy nieruchomie były wpatrzone w jakiś ciemny punkcik w ścianie, zajechał pan Wawrzyniec Grzebikowski konno przed pałac Łaszczyniecki.

Koń był spieniony, snać galopował w drodze, a pan Wawrzyniec oświadczył służbie, że się natychmiast z panem marszałkiem widzieć musi.

Dopuszczono go bezzwłocznie przed dostojne oblicze dziedzica.

— Cóż tam takiego, Grzebikowski?... przestraszasz mnie.

— Nieszczęście, jaśnie panie...

— Gadajże!

— Zjechała komisya i zajęła w sekwestr Zaskale...

Za...ska...le! — powtórzył pan marszałek zwolna, jak gdyby go dławił ten wyraz.

I z otwartemi ustami patrzył na pana Wawrzyńca.

— Daruj jaśnie wielmożny panie, ale rzecz jest tak nagła, że mówić muszę nie obwijając w bawełnę...

— Mów...

— Powiadają, że sekwestr nałożony dlatego, że przyszła denuncyacya z zagranicy...

— De...nun...cya...cya...

— Że to jest majątek przestępców politycznych, oddany panu marszałkowi pozornie, żeby go zasłonić przed konfiskatą...

Marszałek chwycił się oburącz za głowę.

— Ale nie dosyć na tem! — mówił z nieubłaganym chłodem Grzebikowski.

— Cóż jeszcze? — cichym zaledwie szeptem zdołał wymówić marszałek.

— Zajeździłem konia, żeby ich uprzedzić... bo...

— Bo?...

— Jadą tutaj i mają aresztować jaśnie wielmożnego pana marszałka za współdziałanie z buntownikami.

Były to czasy najsroższej represyi. W całym kraju zabranym, na Ukrainie, Wołyniu i Podolu, równie jak na Litwie i Żmudzi, rząd szukał tylko pozorów, aby się czepiać obywateli polskiego pochodzenia. Najlojalniejszych gnębiły kontrybucye, a na kim tylko choć cień podejrzenia mógł ciężyć, ten mógł być pewnym wywłaszczenia, ruiny. Dawne zasługi, lojalność udowodniona, żal i skrucha nie liczyły się za nic; rządowi szło o wytępienie polskiego żywiołu pomiędzy posiadaczami ziemi i brał się do tego kraju tak, jak w kilku ostatnich przynajmniej cywilizowanych stuleciach nie postępował żaden zdobywca.

Rzecz naturalna, że cios taki musiał srodze dotknąć marszałka.

— Aresz...tować... mnie! — wykrzyknął.

Upadł na krzesło bezprzytomny.

Grzebikowski zaczął go cucić, ale to było nadaremne.

Rozesłał na wszystkie strony po doktorów, ale nim pierwszy z nich przyjechał, już marszałek skutkiem ataku apoplektycznego ducha wyzionął.

Choroba jego trwała niespełna godzinę. Przez całe życie nie chorował nigdy, w chwili śmierci nie chciał zmieniać zwyczajów.

Całe jego życie było dyplomacyą obliczoną na to, żeby się nie narazić rządowi, a nie być także w niezgodzie z temi żywiołami, które w pewnych epokach, chociaż tylko chwilowo, mogły się siłą mierzyć z rządem. Dyplomacya ta go zawiodła, był skompromitowany, — cios ten go zabił.

Tym sposobem, w nieobecności syna jedynaka, pan Wawrzyniec Grzebikowski z podrzędnej figury komisarza *de titulo* został nagle wyniesiony na pierwszorzędne i wszechwładne stanowisko. Na jego głowie teraz spoczywało wszystko.

Pierwszym aktem jego wszechwładzy było zatelegrafować do pana Artura, drugim czekać odpowiedzi.

Odpowiedź nadeszła na drugi dzień. Wiemy już mniej więcej jej brzmienie. Pan Artur donosił, że przyjechać nie może, bo jest chory, ale że natychmiast wysyła plenipotenta, który postanowi co ma być dalej.

Przystąpił tedy pan Wawrzyniec Grzebikowski do trzeciego aktu swego wszechwładztwa, to jest do oczekiwania, aż zapowiedziany plenipotent przyjedzie.

Tymczasem ciało marszałka wystawionem było na wspaniałym katafalku w sali przodków. Pan Wawrzyniec nigdyby się nie był odważył na złożenie go do familijnego grobowca, nim przyjedzie ten, który na podstawie pełnomocnictwa miał reprezentować syna zmarłego marszałka.

Czekać długo nie było trzeba. Po trzech dniach plenipotent pana Artura był już w Łaszczyńcach.

Był nim, jak czytelnicy łatwo się domyślają, znany im już dobrze Rafał Fajski, nie różniący się niczem prawie od Rafała Fajskiego, któregośmy widzieli w Kamieńcu, w Gradowcach i w Dreznie.

Gdy przyjechał, pan Wawrzyniec Grzebikowski przyjął go bardzo uniżenie, ale pomimo całej uniżoności poprosił o okazanie pełnomocnictwa.

Rafał Fajski okazał swoje listy wierzytelne, pan Wawrzyniec nie znalazł nic takiego, coby przeciwko ich autentyczności zarzucić było można.

Rafał Fajski był najlegalniej upoważniony do wszelkich aktów prawnych, cywilnych i karnych w imieniu pana Artura. Wydana mu plenipotencya oświadczała wyraźnie, że wolno mu robić wszystko bez żadnych zastrzeżeń, podpisywać obligi i skrypta, pobierać i wypłacać wszelkie pieniądze, zastawiać, zamieniać i sprzedawać własność ruchomą i nieruchomą mocodawcy, przyjmować i wykonywać albo odkazywać przysięgi, itp. słowem było to pełnomocnictwo nieograniczone w najrozleglejszem znaczeniu tego już i tak bardzo rozległego wyrazu.

Pan Wawrzyniec Grzebikowski przeczytał i schylił głowę przed tak nieograniczonym pełnomocnikiem. Wyniesiony biegiem wypadków na naczelne stanowisko, wracał teraz do drugorzędnej roli bez żalu za misyą, do której się nie poczuwał, i powiedział sobie, że będzie wiernym wykonawcą woli Rafała Fajskiego, którego jedyny potomek i sukcesor marszałka tak nieograniczonem zaszczycić raczył zaufaniem.

Bądź co bądź przecież, jako komisarz dóbr, i choćby dla samego poinformowania nowiciusza zwierzchnika musiał się bliżej przypatrywać czynnościom Rafała Fajskiego. Zaraz po pogrzebie marszałka, zapytał go nawet otwarcie:

— Cóż robić będziemy, panie Fajski.?

— Ja tylko to robić mogę, do czego mam polecenie — odparł Rafał.

— A więc?...

— Więc z wyjątkiem Zaskala, które jest pod sekwestrem i którego tknąć nie podobna, mam polecone wszystkie dobra i ruchomości sprzedać, choćby za bezcen.

— Ależ to szaleństwo! — zawołał chwytając się za głowę Grzebikowski.

— Niech sobie będzie... — odparł Fajski, — mnie nic do tego i acanu, panie Grzebikowski, także nic. Tak pan hrabia kazał i tak być musi...

— Gdybyśmy jednak poczekali trochę, znaleźliby się może lepsi kupcy — wtrącił nieśmiało pan Wawrzyniec.

(Dokończenie nastąpi.)



POLKA.

I wzniosła blade czoło śród barwnego tłumu
Tych Pań całego świata, zebranego w świecie,
Strojnych, w złoto, purpurę i wdzięki i czary,
I w dowcip i w tytuły, w honory bez miary.
Nie zdobiło ją złoto ani strój bogaty,
Ubogie były, skromne, żałobne jej szaty;
Lecz gdy była ciekawie o godność pytana,
Godność ma, rzecze z dumą, ta, żem Polką zwana.
Polka? i wnet się ze czcią uchyliły skronie,
I wnet przyjazne zewsząd wyciągnęły dłonie.

Polka! to nie zwyczajna powszednia niewiasta,
Którą wszędzie napotkasz, wszędzie bujnie wzrasta;
Której cel, przeznaczenie, być zabawką świata,
Której w tryumfie żywioł i życia zapłata.
Polka! to ołtarz, na którym ognisko
Miłości podsycane, wieczne ma siedlisko.
W niej ziarno przyszłych losów złożone jest w głębi,
W niej wszystko co ojczyste niczem się nie zziębi,
W niej z modlitwą praojców cnota ich przetrwała,
W niej z wiarą i miłością nadzieja została;
I gdy wszystko uległo pod zwątpienia groty,
I gdy wszystkie zachwiały zasady i cnoty,
Ona wierzyła święcie w przyszłość, zmartwychwstanie,
Wierzyła, modląc Panu o słowo: niech stanie!
I gdy wszystkie do walki osłabły już dłonie,
I gdy wszystkie niewolą pochyliły skronie,
Ona stanęła groźna, jedna przeciw wroga,
Wielka miłością świętą, silna wiarą w Boga.

Ujęła oręż straszny, mistyczny, niemylny,
Co podbił wszystkie serca w jeden głos przychylny;
I w wszystkie serca wlała swą miłość, uczucia,
I wszystkie odzieliła wiarą w swe przeczucia;
A wróg darmo wydrzeć chciał berło z jej ręki,
Straszył ją torturami i kajdanów brzęki,
Ona mu zajrzy w oko śmiało, niezachwiana,
Aż zadrżał pod tym wzrokiem i ugiął kolana,
Przed potęgą uroku moralnej wyższości,
Większej nad Sybir, knuty, nienawiść i złości:
Ha! zawołał w rozpaczy, a jam sądził przecie,
Że już znikł polski naród z żyjących na świecie,
A on olbrzymem stoi, w olbrzyma wyrasta,
A tą olbrzymią siłą, mu polska niewiasta.

* * *

Polko! czyś ty pojęła swoje przeznaczenie?
Twoją misyę, twą dążność, twe w świecie znaczenie?
Wieszże, iż przeciw Tobie nie ma sił, oręża?
Nie ma łuku co ciosy śmiertelne wytęża?
. . . .

Polko! gdy serce twoje pusta, zimna bryła,
Kiedy się myśl ofiary w niem nie wyrobiła,
Kiedy pokochać zdolną'ś była tylko siebie,
Wtedy się nie zwij Polką, naród zaprze ciebie.
O! boś ty namaszczona, tyś kraju kapłanka,
Tyś obowiązków świętych świątynia, wybranka.
Tobie nie wolno w próżni smakować jak innym,
Nie wolno oddać serca zabawom dziecinnym,
Bo myśli, serce twoje, własnością narodu,
Bo ty do wesołości, dziś nie masz powodu.

Zamiast kwiatów dla ciebie, cierniowa korona
Na trumnie męczenników została spleciona;
A tyś palmę ujęła zwycięstwa, natchnienia,
Modlitwy, pokoju, wiary, przebaczenia;
I pojęłaś, by godnie nosić Polki miano,
Wyższą myślą i czuciem trzeba być owianą;
I tyle mieć miłości, by w onej ognisku,
Wszystkich i wszystko złączyć w braterskim uścisku,
Wszystkich i wszystko zrównać w braterstwa imieniu,
Wszystkich i wszystko podnieść w nadziei, natchnieniu;
I być naszych zwyczajów, religii strażnicą,
Patryarchalnej cnoty najczystszą krynicą,
I przechować nietkniętą historyę wiekową,
I być narodu sercem, nie mogąc być głową.

D. L.



SĄD BOŻY.

Tłómaczył z angielskiego S. P.

TOM III.

(Ciąg dalszy.)

— Jeżeli więc pan chcesz potrzebować mniej czasu na przebycie tej drogi, to musisz ją dobrze znać. Proponuję ci zatem następującą rzecz: pójdź pan zemną do mego pokoju i opisz mi drogę tak dokładnie, że będę mógł narysować kartę.

Hickory zgodził się na żądanie kolegi, i kilka minut później siedzieli obydwaj w mieszkaniu Byrda, który wyszukał zaraz wielki arkusz papieru i zabrał się do dzieła.

— Słuchaj pan — mówił Hickory, patrząc uważnie na linie, które Byrd kreślił ołówkiem — wychodzę zatem z jadalnego pokoju pani Klimmer, biegnę przez podwórze, przeskakuję płot, brodzę przez bagno i zwracam się do lasu. Wpadam do chaty...

— Po co? — przerwał Byrd.

— Po model maszyny. Wszakże urzędnik kolejowy mówił, że Mansell niósł dziwny jakiś pakiet.

— Prawda! Więc wychodzisz z chaty z modelem...

— I biegnę ścieżką ukrytą wśród cierni i zarośli, aż do końca lasu. Pędzę wzdłuż rzeki, przechodzę most i po kilku minutach jestem na drodze wiodącej na dworzec. Widzę, że pan doskonale narysowałeś plan cały, ale zdaje mi się — dodał zamyślony — że Mansell musiał jednak znać krótszą drogę przez las.

— Wątpię. Przypomnij pan sobie, że Orkut pytał urzędnika, jak Mansell wyglądał, gdy przybył na dworzec. Urzędnik zeznał, że był cały zgrzany, że ledwie trzymał się na nogach, i że ubranie jego było błotem zbryzgane. Jest więc zupełnie jasnem, że szedł tak jak pan mówiłeś.

— Może być. W każdym razie przekonam się jutro, czy stanę w godzinie na dworcu.

Po tych słowach rozstali się koledzy.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY.

Jeszcze jeden świadek.

Nazajutrz znowu przepełniała publiczność salę posiedzeń. Byrd był jednym z najpierwszych, jak zwykle, i wyszukał sobie przedewszystkiem wygodne miejsce, z którego mógł dokładnie obserwować i oskarżonego i świadków. Chętnie byłby się dzielił swemi spostrzeżeniami z Hickorym, ale ten znajdował się obecnie na drodze do stacyi kolejowej w Monteit.

Posiedzenie rozpoczęło się. Po stwierdzeniu faktu, że panią Klimmer znaleziono trzy minuty po dwunastej umierającą w jej pokoju jadalnym, starano się jeszcze o dokładne oznaczenie czasu, w którym morderstwo zostało popełnionem. Publiczność zdumiała, gdy Orkut głośno wezwał jako świadka: Walerego Hildreta.

Ferris zerwał się z krzesła.

— Nie możesz pan pod żadnym warunkiem przesłuchiwać człowieka — zawołał — którego, jak wiadomo, podejrzywano również o zamordowanie wdowy, i który dlatego znajdował się dosyć długo w więzieniu.

— Mam prawo do tego i nie myślę go się zrzekać — odrzekł Orkut.

Hildret zbliżył się do stołu, a blada twarz jego i szyja, owiązana jeszcze chustką, wywołały wielkie u publiczności zajęcie. Gniew i wstyd przepełniały jego duszę, cała zaś postać i zaniedbane ubranie nie wzbudziły zbytecznego do niego zaufania.

Byrd mimowoli porównywał dwóch tych młodzieńców; Hildret chwiejny, wylękły, niepewny siebie, wyglądał prędzej na mordercę, niż Mansell, spokojny, dumny, jak gdyby przeświadczony o swej niewinności. Porównanie musiało wypaść na korzyść oskarżonego, każdy tak myślał, Orkut więc umiał to przeciwieństwo doskonale wyzyskać. Chociażby zeznania Hildreta nie wiele miały wartości, to sama obecność jego już wiele znaczyła.

Byrd poznał od razu zamiary Orkuta.

— On jednak chce dowieść, że mordercą jest Hildret — rzekł sobie w duszy. — Może być, że sam wierzy w to.

Hildret złożył przysięgę i przesłuchiwanie jego zaczęło się. Orkut okazywał mu wiele szacunku, a pytania, jakie stawiał, miały głównie na celu stwierdzenie faktu, że wdowa była jeszcze kilka minut przed dwunastą żywą i zdrową.

Że Hildret wszedł do jej domu dopiero po trzech kwadransach na dwunastą, wykazało się z zeznania sąsiadki, pani Denton, której dzieci bawiły się do tej chwili przed domem. Przypuściwszy więc, że rozmowa Hildreta z wdową trwała tylko pięć minut, to w sześć lub siedem minut przed dwunastą musiała jeszcze żyć.

Po Orkucie zaczął Ferris badać świadka, wystrzegając się jednak starannie takich pytań, przy których każdy byłby się musiał zadziwić, dlaczego nie świadek sam, tylko Mansell siedzi na ławie oskarżonych.

Po skończeniu badania Hildreta chodziło jeszcze teraz o to, czy pociąg, którym Mansell wyjechał z Monteit, nie spóźnił się tego dnia właśnie. Ale urzędnik kolejowy pokazał telegram, oznajmiający odejście pociągu punktualnie o godzinie pierwszej.

Ostatecznie miał szybkobieg nowojorski zeznać pod przysięgą, że drogi przez las z domu pani Klimmer do Monteit nie można przebyć w przeciągu godziny.

Aż do tej chwili słuchał Byrd wszystkiego bardzo uważnie, ale teraz zaczął się niepokoić, i spoglądał często na drzwi sali. Oczekiwał niecierpliwie powrotu Hickorego, który każdej chwili powinien był przybyć. Orkut także patrzał raz po raz na drzwi, Byrd zauważył to i zdumiał. Czyżby i on czekał jeszcze na kogoś?

Zeznanie atlety i szybkobiega nowojorskiego brzmiało jak następuje:

— Pierwszy raz przebyłem tę drogę w 80 minutach, drugi raz w 75, znałem ją teraz już i oszczędzałem sił, gdzie było potrzeba. Trzecim razem musiałem znów dodać trzy minuty, bo ziemia była rozmiękczona deszczem, i bagno było prawie niemożliwem do przejścia. W każdym razie nikt nie może potrzebować mniej, jak 75 minut.

Szmer zadowolenia dał się słyszeć na sali. Czas, który zostawał Mansellowi do ucieczki, wynosił tylko najwyżej 63 minut.

— Więc pan odbyłeś trzy razy próbę? — zapytał Ferris świadka.

— Tak, biegłem od domu wdowy aż do stacyi.

— Nie można drogi tej odbyć wozem lub konno?

— Jest to zupełnie niemożliwem! Dla woza jest ścieżka zbyt wązka, a koń połamałby na niej nogi.

— I biegłeś pan prędko?

— Ile mi tylko sił starczyło.

— Urzędnik kolejowy mówił wyraźnie — rzekł teraz Orkut — że oskarżony szedł wolno drogą do lasu.

— A więc potrzebował jeszcze więcej czasu — dodał atleta.

Drugi szybkobieg zeznał zupełnie tak samo. Natężeniem wszystkich sił udało mu się wyprzedzić raz swego towarzysza o dwie minuty.

W tejże chwili ukazał się Hickory na progu, a twarz jego wyrażała wielkie rozczarowanie. Spotkawszy badawcze spojrzenie Byrda, potrząsnął przecząco głową, plan jego widocznie nie udał się. Gdyby jednak był zauważył, że Orkut obserwuje go pilnie, byłby nieco ostrożniej wyraził swoje niezadowolenie. Skoro tylko mógł, zbliżył się do Byrda i szepnął przygnębiony:

— Pędziłem jak szalony i potrzebowałem 87 minut. Jeżeli Mansell zabił wdowę i uciekał przez las, to musiał chyba mieć skrzydła.

— Szybkobiedzy odbyli drogę tę o kilka minut prędzej, ale i oni potrzebowali o wiele więcej, niż 60 min. — odrzekł Byrd zachmurzony.

— A zatem położenie rzeczy nie zmienia się wcale. Zdaje mi się zresztą, że mnie ktoś potajemnie śledził. Jakiś człowiek był ukryty w domu pani Klimmer, inny krążył koło stacyi, jestem więc pewny, że zanotowali dokładnie czas mego

odejścia i przybycia. Ten, który był na dworcu odesłał zaraz telegram i wrócił pociągiem razem ze mną. Orkut musi być czarodziejem, jeżeli się dowiedział, że...

— Panie Hickory! — dał się w tej chwili słyszeć rozkazujący głos Orkuta. — Wzywam pana jako świadka!

Policyant drgnął mimowoli i przerażony spojrzał na Byrda.

— Czego on u licha chce odemnie?

— Zobaczymy — odrzekł Byrd zaniepokojony.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI.

Hickory.

— Zechciej pan powiedzieć, gdzie byłeś dziś rano? — zaczął Orkut poważnie.

— Na rozmaitych miejscach — odrzekł Hickory.

— Pan wiesz bardzo dobrze, o co mi chodzi! Gdzie byłeś pomiędzy godziną jedenastą i pierwszą?

— W tym czasie szedłem z Sibley do Monteil. Chciałem się przekonać. czy można przebyć tę drogę w godzinie i zwalczyć pana obronę!

— Ach, i dlaczego? Kto pana nakłonił do tego?

— Jeden z moich przyjaciół, także agent policyjny.

— I kiedy to było?

— Wczoraj, po obronie pana. Mój przyjaciel zajechał do tego samego hotelu, w którym ja mieszkam, i tam ułożyliśmy cały nasz plan.

— Czy adwokat Ferris wiedział o tem?

— Nie!

— I nikt inny?

— Ponieważ wezwałeś mnie pan na świadka, przeto musiał się ktoś jeszcze o tem dowiedzieć — odrzekł Hickory z szyderczym uśmiechem.

Orkut zmieszał się nieco.

— Więc umiesz pan biegnąć tak szybko, że zamierzałeś rywalizować z ludźmi fachowymi?

— Tak, pozwoliłem sobie uczynić to.

— Znałeś pan dokładnie drogę przez las?

— Owszem. Znałem ją oddawna już!

— Co pan zrobiłeś, przybywszy nad rzekę?

— Zwróciłem się na lewo, aby dojść do mostu.

— Nie mogłeś w inny sposób osięgnąć drugiego brzega?

— Nie, bo pływać nie mogłem, nie chcąc zmaczać ubrania, a skrzydeł nie miałem pod ręką.

— Żarty te nie są wcale na miejscu — odrzekł Orkut zagniewany. — Biegłeś pan potem szybko?

— Bynajmniej. Wóz jakiś jechał żwirówką, wskoczyłem więc i kazałem się zawieść aż do skrętu...

— Dlaczego nie dalej?

— Bo mówiono, że oskarżony szedł od lasu, chciałem więc uczynić zupełnie tak samo.

— A czemu jechałeś pan cały kawał drogi?

— Nikt przecież nie twierdził, aby oskarżony nie był także jechał!

Na te słowa uśmiechnął się Mansell pogardliwie. Orkut i Byrd zauważyli ten uśmiech, ale żaden z nich nie umiał go sobie wytłumaczyć.

— Ile minut potrzebowałeś pan na odbycie tej drogi? — zapytał znowu Orkut.

— 87. Wiem już, że szybkobiedzy odbyli ją o kilka minut prędzej, ale to nic nie znaczy. Zostaje zawsze jeszcze 15 minut za wiele.

— Dziękuję panu!

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI.

Późne odkrycie.

Zaraz po przesłuchaniu Hickorego zamknięto posiedzenie, i publiczność tłumnie zaczęła opuszczać salę. Byrd nie spieszył się wcale z wyjściem, tak był zajęty obserwowaniem Iwony. Młoda dziewczyna zdawała się być znacznie spokojniejszą i z wdzięcznością patrzała na uśmiechniętego Orkuta. Ale teraz zbliżył się Hickory do Ferrisa i zaczął mu coś opowiadać; Ferris słuchał uważnie, marszczył czoło i poruszał gwałtownie rękami, jak gdyby słowa policyanta gniewały go niezmiernie. Byrd wiedział bardzo dobrze, o czem kolega jego mówił, i smutny i przygnębiony wyszedł z sali, aby się udać do swego mieszkania. Wkrótce przyszedł do niego Hickory.

— No i co pan mówisz na to — zawołał, śmiejąc się — że mnie Orkut wezwał jako świadka? Byłem zdumiony i oburzony na niego, i pomściłem się. Nawarzyłem mu takiego piwa, jakiego się pewnie nie spodziewa!

— Jakto? Przecież badanie świadków już skończone?

Tak, ale Ferris może wnieść o rozpoczęcie badania na nowo. Prawo to przysługuje mu!

— Czy on uważa to, na co mu pan zwróciłeś uwagę, za bardzo ważne?

— W każdym razie zaniepokoił się wielce! — rozśmiał się Hickory.

— Pana to widocznie bawi niezmiernie!

— Czemu nie? Cieszę się, że pomściłem szpiegowanie Orkuta.

Ferris był istotnie zaniepokojonym, gdy mu Hickory dowodził, że Iwona zna więcej szczegółów morderstwa, niż to w obec sądu zeznała. Głównie zaś chodziło o to, gdzie ona się znajdowała w czasie, w którym zbrodnia została popełnioną. I po długim namyśle postanowił zapytać jej o to, i sprawdzić, czy zamilczała jakie fakta, świadczące na niekorzyść oskarżonego.

Około ósmej poszedł więc do niej, ale zadanie, jakie sobie postawił, nie było wcale łatwem do wykonania. Iwona przyjęła go chłodno i wyniośle, a twarz jej blada śmiertelnie zdradzała aż nadto walkę, jaka się w sercu jej toczyła. Ferrisowi żal było dziewczęcia, ale teraz nie mógł się już cofnąć; raz musiał przecież skorzystać ze sposobności i rozproszyć wszystkie niepokoje i wątpliwości.

— Przepraszam panią — rzekł serdecznie — że dziś raz jeszcze muszę cię trudzić. Ale obowiązek nakazuje mi zapytać cię.....

Iwona zachwiała się i chwyciła poręcz krzesła.

— O co? — szepnęła. — Nie rozumiem pana!

— Gdzie i kiedy dowiedziałaś się o zamordowaniu pani Klimmer?

— Słyszałam na ulicy ludzi mówiących o tem, zawołała szybko.

— O której mniej więcej godzinie? Jest to bardzo ważne....

— Panie Ferris, przerwała oburzona, na co te pytania? Zdaje mi się, że badanie sądowe już skończone.

— Tak, ale pomimo to proszę usilnie, abyś mi pani odpowiedziała.

— Mniejsze o to! Więc o co chodzi?

— Gdzie pani byłaś w chwili, w której popełniono morderstwo, a zatem o godzinie dwunastej w południe?

— W willi profesora Darlinga, odrzekła stanowczo.

Ferris poruszył głową i spojrzał na nią z powątpiewaniem.

— Ach! Pan mi nie wierzysz! Pan mi nie wierzysz!

— Wierzę, ale.....

— Więc odpowiedź moja wystarcza, zawołała żywo.

— Tak, jeżeli dodasz, że byłaś w pokoju wieżowym w tak zwanem obserwatoryum astronomicznem.

— Byłam tam rzeczywiście!

— Doprawdy? Możesz zatem powiedzieć, dlaczego cię służąca nie zastała tam, gdy przyszła prosić na śniadanie!

— Boże! jękła Iwona głucho. Co to ma znaczyć?

— Prawda musi raz przecież być wyjaśnioną, odrzekł Ferris ostro. Jestem przekonanym, że nie powiedziałaś wszystkiego, co wiesz o tej zbrodni! Masz pewne i niezbite dowody winy Mansella, chociażby obrona wykazała, że jest niewinnym. Powiedz pani prawdę, żądam tego na mocy mego urzędu! Dziś możesz jeszcze odmówić memu żądaniu, ale jutro, wobec sądu, zapytam cię po raz drugi, i wtedy.....

— Jeszcze raz — ... jutro.... przerwała na wpół przytomna.

— Tak jest!

— Zostaw mi pan kilka minut do namysłu, szepnęła zbielałemi ustami, kilka minut tylko....

— Żałuję bardzo, ale dłużej czekać nie mogę. Zdaje mi się, że byłem już dosyć cierpliwym!

— Więc niech się dzieje co chce, dla mnie i tak już nadziei nie ma! Słuchaj pan! Owego dnia, gdy się znajdowałam w obserwatoryum profesora Darlinga, zbliżyłam się mimowoli do okna, zakrytego ogromną mapą stojącą na sztaludze. Zdawało mi się, że późno już i chciałam spojrzeć na zegar ratuszowy, nie mogąc jednak rozróżnić skazówek, wzięłam lunetę, którą kilka dni przedtem ustawiłyśmy ze żartów

w kierunku miasta. Gdy spojrzałam teraz na zegar, stały skazówki na pięć minut przed dwunastą....

— Pięć minut przed dwunastą! zawołał Ferris. Dalej, dalej!

— Skierowałam potem lunetę na dom pani Klimmer, do której chciałam iść po obiedzie, i zobaczyłam....

— Co, na Boga, co tam pani zobaczyłaś?

— Jakiegoś mężczyznę, przeskakującego płot w największym pospiechu, i pędzącego prosto przez bagno, w kierunku lasu!

— I poznałaś go pani?

— Tak! jękła, zakrywając twarz rękami.

— A uciekającym był Mansell, nieprawdaż?

Iwona pochyliła głowę.

— Dziwna rzecz! bardzo dziwna, rzekł Ferris. Ale chociażbyś się pani nie myliła, chociażby to rzeczywiście był Mansell, to jednak nie mógłby on o pierwszej wyjeżdżać z Monteit. Brakowałoby mu zawsze jeszcze 10 minut, nawet wtenczas, gdyby biegł tak, jak szybkobiedzy z rzemiosła, lub Hickory.

— I to ja wszystkiemu jestem winna, zawołała z rozpaczą. Kocham go nad wszystko w świecie, a sama wydaję go w ręce sprawiedliwości! Oh, to czyn bohaterski, dodała szyderczo. Mówić prawdę i ocalić niewinnego nawet kosztem własnego szczęścia i życia ukochanego, na to chyba Rzymianki zdobyć się niegdyś mogły! Będę wzorem i przykładem wszystkich kobiet, ja, która dla zadosyć uczynienia sprawiedliwości oddałam ukochanego w ręce kata! Wiesz pan, szepnęła, patrząc na niego obłąkanemi oczami, że niejedna wołałaby sobie życie odebrać, niż cierpieć tak okropnie! Ale ja nie mogę tego, nie mogę! Jutro......

— Pożegnam panią teraz, przerwał Ferris łagodnie, może się prędzej uspokoisz! Jutro....

— Powtórzę moje ostatnie zeznania przed sądem, Bóg doda mi sił, a potem.....

Wzruszony do głębi serca wyszedł Ferris, sądząc, że samotność najprędzej uspokoić zdoła nieszczęśliwą dziewczynę. Z tem wszystkiem sprawa ta jeszcze wyjaśnioną nie była!

ROZDZIAŁ TRTZYDZIESTY CZWARTY.

Czy to złote promienie słońca nadawały dziś sali sądowej weselszą powierzchowność, czy też nadzieja opromieniała twarze, dosyć, że wszystko jakoś inaczej wyglądało. Nawet oskarżony nie uśmiechał się tak pogardliwie, jak zwykle, ale bo też uwolnienie jego dosyć było teraz prawdopodobnem!

Hickory i Byrd zajęli swoje dawniejsze miejsca.

— Gdzie pan byłeś wczoraj na wieczór? zapytał Byrd kolegi. Nie mogłem cię nigdzie znaleść!

— Strzegłem ptaszka w klatce, obawiałem się bowiem, aby nie uciekł.

— Nie rozumiem tego!

— No, całą noc prawie przepędziłem przed oknami panny Dare. Nie było to wielką przyjemnością, bo nad ranem dopiero zgasło światło w jej pokoju.

— Nie wiesz pan, co Ferris zamyśla uczynić?

— Nie, ale jestem ciekawy na to, co tu dziś jeszcze usłyszymy.

Byrd spojrzał na Iwonę, która siedziała zamyślona i nieruchoma, jak posąg.

— Proszę pani — dał się teraz słyszeć głos Ferrisa.

Orkut, będąc pewnym zwycięztwa, zerwał się gwałtownie.

— Protestuję! — krzyknął. — Panna Dare powiedziała już wszystko, przesłuchanie świadków już skończone.

— Tak jest — odparł Ferris — ale chodzi tu jeszcze o jeden punkt, który panna Dare nam wyjaśni. Odnosi się to do kwestyi, czy oskarżony mógł istotnie zdążyć na pociąg w Monteit, jeżeli opuścił dom wdowy po zamordowaniu jej.

Orkut niespokojny i zmieszany spojrzał badawczo na Iwonę.

— Więc panna Dare ma dowieść — rzekł szyderczo — że oskarżony opuścił dom pani Klimmer po dwunastej i że pomimo to zdążył na pociąg?

— Tak!

— Tej kwestyi kobieta rozstrzygnąć nie może! Ale proszę, badaj pan pannę Dare! Nie mam nic przeciwko temu!

Pomimo to drżał z obawy i niepokoju. O czem Iwona jeszcze mówić mogła?

— Patrz pan na Mansella — szepnął Byrd koledze. — Umie on lepiej panować nad sobą, niż Orkut!

— Ale jego oczy! Wpatruje się w pannę Dare tak, jak gdyby chciał odgadnąć najtajniejsze jej myśli!

Iwona wstała teraz i na znak Ferrisa zbliżyła się do stołu.

— Powiedz nam pani, rzekł Ferris, gdzie się znajdowałaś w chwili, w której popełniono zbrodnię?

— Pytanie to jest zbyteczne, zawołał znowu Orkut, nie ma ono żadnego związku z naszą sprawą!

Wszystko stało tak dobrze, że był pewien pozyskania ręki ukochanej, to też lękał się niezmiernie, aby jedno nieostrożne słowo nie popsuło mu szyków. Ale i Mansell zaczął się nagle niepokoić i otworzył usta, jak gdyby chciał przemówić, zaraz jednak zdołał zapanować nad sobą, i tylko silne drżenie rąk świadczyło o gwałtownem jego wzruszeniu.

— Panowie, odezwał się Ferris, zaręczam uroczyście, że panna Dare może nam powiedzieć coś ważnego, coś, co obala całą obronę adwokata Orkuta. Myślę, że teraz nareszcie dojdziemy do celu! Zechciej pani, dodał, zwracając się do Iwony, powiedzieć, czy widziałaś oskarżonego owego dnia później, jak dziesięć minut przed dwunastą. Tak czy nie?

Orkut osłupiał. Dlaczego ani Iwona ani Mansell nic mu o tem nie mówili? Przecież zamilczenie takiego ważnego faktu było po prostu szaleństwem!

Mansell również zerwał się z krzesła i przerażony, patrzał na Iwonę, jak gdyby nie dowierzał własnym uszom.

Młoda dziewczyna sama stała spokojna i niewzruszona.

— Pan Ferris — zaczęła teraz cicho ale wyraźnie — stawił mi dwa pytania. Odpowiadam więc na pierwsze, gdzie się znajdowałam w chwili, w której popełniono morderstwo.... Otóż byłam wtenczas..... w domu pani Klimmer!

Piorun z jasnego nieba nie byłby wszystkich więcej przeraził, jak te słowa. Ferris stał z otwartemi ustami, nie wiedząc, co na to odpowiedzieć.

— Jakto? — wyjąkał nareszcie — w domu pani Klimmer? Czy dobrze rozumiałem?

Iwona uśmiechnęła się.

— Tak — rzekła — przysięgam, że byłam tam, w jadalnym pokoju. Poszłam potajemnie, chcąc ją uprosić o pożyczenie pieniędzy memu..... to jest panu Mansellowi. Zeszłam z wieży schodami do ogrodu, nikt mnie nie widział — zastałam panią Klimmer samą; jeżeli tam kto był poprzednio, to musiał się już oddalić. Pani Klimmer zamierzała właśnie nakręcić zegar.....

Dlaczego Iwona umilkła nagle?

Ferris słuchał, nie mówiąc ani słowa, Orkut zaś siedział, jak skamieniały, czekając w śmiertelnym strachu końca tego opowiadania. Iwona patrzała na Mansella, który gwałtownie poruszał rękami, jak gdyby chciał przeszkodzić dalszym jej zeznaniom.

Publiczność drżała z niecierpliwości, obawiając się, że Iwona nic więcej już nie powie. Ale pomimo, że wzruszenie Mansella zdawało się wywierać głębokie wrażenie, nie usłuchała jego rozkazu i zwracając się do sędziów przysięgłych, mówiła dalej:

— Gdy mnie pani Klimmer ujrzała, zbliżyła się do mnie, i wtedy zaczęła się krótka i przykra rozmowa. Przybycie moje oburzyło ją do najwyższego stopnia. Rozgniewana, chciałam już odejść, zatrzymałam się jednak jeszcze na chwilę i to właśnie rozstrzygnęło wszystko. Pani Klimmer odwróciła się odemnie z pogardą, ja zaś, uniesiona rozpaczą i nie wiedząc prawie, co robię.....

Iwona więcej mówić nie mogła i nie potrzebowała. Ogromne zamieszanie zapanowało na sali, okrzyki przerażenia i grozy dały się słyszeć, niejedna pięść podniosła się ku nieszczęśliwej i kto wie, jakby to wszystko się skończyło, gdyby nie ostry głos dzwonka przewodniczącego, upominającego o ciszę i spokój.

— Zapewne nie namyśliłaś się pani nad doniosłością swoich słów — zawołał teraz sędzia. — Litość dla oskarżonego i własne twoje wzruszenie podyktowało ci je, dajemy ci więc trochę czasu do uspokojenia się i do.....

— Jestem spokojną i wiem co mówię — przerwała Iwona dumnie. — Ja zabiłam panią Klimmer, a Eryk Mansell jest niewinnym!

— Ona nie mówi prawdy — szepnął Byrd. — Przypomnij pan sobie, co mówiła wówczas w chacie!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Poszanowanie szczęścia.

Tłómaczyła z francuzkiego

M. R.

Sędzia śledczy zwrócił się do pisarza, który schowawszy papiery, kładł klucz do kieszeni.

— Swoją drogą jest to sprawa dziwnie zawikłana i nader delikatnej natury. Przeszłość podsądnego jest bez zarzutu, sytuacya społeczna bardzo zadawalająca; nie jest też ani alkoholikiem, ani zdegenerowanym. Z drugiej znów strony oto człowiek, który przez lat dziesięć znosił spokojnie pod swym dachem romans jawny, będący niemal fabułą publiczną i zamyka nań oczy z wyrozumiałością, którą można było najszczególniej tłómaczyć. Nagle ten mąż dobroduszny zamienia się w bohatera tragedyi i zabija głupio, brutalnie, na ulicy kochanka żony, w chwili właśnie, gdy związek, o ile się zdaje, miał się ku końcowi.

— Podsądny wręczył panu memoryał, panie sędzio — zauważył woźny.

— To prawda. Możebyśmy przejrzeli go przed odejściem.

— Panie sędzio śledczy!

Kiedy ożeniłem się z Różą, nie byłem już młody.

W dawnych wydaniach Molière'a określają Arnolfa ze „Szkoły kobiet“, jako 45-letniego starca. Obecnie ten wiek uważa się za młodość bywalca bulwarów. Byłem zakochany, przypuszczałem, że mogę się żenić.

Ożeniłem się z Różą. Tyle w niej było czaru, taki wdzięk słodki i ujmujący wiał od niej, że zdawała się promieniować światło i wesołość. Patrząc na nią, odczuwało się w duszy słodycz, jaką daje gaj, osypany wiosennem kwieciem; patrząc na nią, zrozumiałem zwrotkę starej piosnki:

„Jak patrzeć na nią lubo
Wdzięczną, dobrą i piękną....“

Dano mi ją za żonę, bo byłem bogaty; ona zgodziła się wyjść za mnie, bo nie byłem jej całkowicie obojętny. I za tę chwilę, w której okazała mi pewne uczucie, powziąłem dla niej rzewną wdzięczność, która kierowała całem mem późniejszem życiem.

Mieszkaliśmy to w Paryżu, to na wsi, czasem też w prowincyonalnem mieście, w starym pałacu, dość opuszczonym, lecz majestatycznym, którego monumentalne schody i wielkie salony, puste i dźwięczne, mówiły mi o przeszłości.

Róża zaczęła się nudzić; zdaje mi się, że kobieta, znosząca towarzystwo niezupełnie już młodego mężczyzny, musi być do pewnego stopnia zepsutą. Wymowa, wyrobiona na flirtach salonowych i doświadczenie, zdobyte w alkowach, nie zastępują wdzięku jasnego wąsa, ani giętkości młodego umysłu. W egoizmie osobistego szczęścia nie zauważyłem nic z początku. Róża nudziła się.

Aż nagle jednego dnia dostrzegłem, że w duszy jej zrobiło się szaro, że wzrok jej stał się mniej pogodnym, głos mniej dźwięczny. Ten smutek jakiś nieokreślony, kładąc swe cienie na jej promienną postać, sprawiał wrażenie przejmujące a łagodne, jak chmurne niebo, zawisłe nad śmiejącym się krajobrazem. Ostrożnie, zlekka próbowałem ją badać, odpowiadała mi wymijająco. Uwiozłem ją daleko, podróżowaliśmy.... niestety obwoziłem tylko po świecie jej tęsknotę.

Cierpiałem przez nią, kryłem przed nią to cierpienie. Byliśmy towarzyszami w nieszczęściu, lecz chowaliśmy je przed sobą wzajemnie. Okoliczności kazały nam powrócić do Paryża; życie nie troszczy się o nasze cierpienia, płynie swym zwykłym trybem. Na pozór, nic się u nas nie zmieniło. Wieleż istnień ludzkich przedstawia tylko złudne pozory tego, czem być powinny? Powinniśmy byli być szczęśliwi. Dlaczego działo się inaczej? Nie wiem, doprawdy nie wiem.

Nagle tajemna tęsknota znikła z twarzy Róży, zajaśniała na niej światłość czarowna, stała się taką jak dawniej, upiękniona jeszcze, podniecona szczęściem. Róża wracała do życia, pełna powabu, tak szczerze wesoła, dysząca taką pełnią szczęścia świeżego jakiegoś delikatnego i powiewnego, że zbudziła się we mnie, wobec tej metamorfozy, cała dawna podejrzliwość człowieka, znającego życie. Czytałem na jej czole jej myśli tak wyraźnie, jak wzrok śledzi cień chmur, sunących po gładkiej równi; te myśli płynęły falą szybką i szeroką, jakgdyby gnane swobodnym powiewem wesołego wietrzyka. Na twarzy Róży grały codzień nowe światła.

Zrozumiałem, że rodzi się w niej miłość.

Wiedziałem, że jest czysta i prawa, niepokalanej uczciwości. Wystarczyłoby mi było powiedzieć jedno słowo, by oddalić niebezpieczeństwo... Wahałem się...

Nie jestem lepszym od innych, ale nie zaznawszy sam nigdy szczęścia, mam bezwzględne poszanowanie dla szczęścia innych. Zepsuć i zniszczyć ten skarb tak rzadki i kruchy zdaje mi się prawie zbrodnią. Sama myśl, że mogę to, że zmienić mogę radość w smutek, a wesele, śmiejące się w oczach, w łzy roztopić, zdaje mi się straszną zbrodnią. Cierpiałbym, spędzając uśmiech z ust wesołych i odejmując duszy ludzkiej chwilę spokoju i wytchnienia. A jest tylu ludzi, których szczęście innych trapi, którzy łamią je i gniotą z rozkoszą.

Róża była zbyt szczęśliwą, szczęśliwą bezwiednie. Jej dusza lekka i powiewna wznosiła się w powietrzne przestworza, żyła w obłokach i płynęła ku światłu zuchwałym ruchem skrzydeł. Róża była zbyt szczęśliwą, nie wiedząc czemu.

Gdybym przemówił, zagasłby blask tych oczu i uśmiech tych ust. Zabiłbym jej szczęście i żyłbym z wiecznym wyrzutem popełnionej zbrodni.

Więc choć pożerany coraz wzmagającą się trwogą, badałem milcząc na twarzy Róży wszystkie fazy tej miłości, która mi ją wydzierała, czytałem w jej oczach, na jej twarzy, na jej białem czole namiętny romans, którego przewracała kartki.

I w dniu... w dniu, w którym wróciła taka szczęśliwa i taka zmieszana, nawet w tym dniu nie chciałem złamać wątłego kwiecia jej szczęścia. Czy przestałbym cierpieć, skazując ją na cierpienia? Bo przeszedłem przez wszystkie katusze: katusze męża, katusze kochanka. Patrzyłem na to, jak oddzieliła swe życie od mego, jak obojętnie. z bezczelnym spokojem kobiet zakochanych, odebrała mi siebie całą. Zrozumiałem, że naokół mnie wszyscy śmieją się z mego zaślepienia, że ci, których sumienie najwięcej jest zbrukane, najgłośniej oburzają się na moją „wyrozumiałość“. Gdy wchodziłem do jakiegoś salonu, cisza go zalegała... cisza pełna uśmiechów.

Cierpiałem i milczałem.

Do dnia, w którym oczy Róży się zaćmiły, policzki jej przybladły, a w duszy zrobiło się czarno. W tym dniu zrozumiałem, że nędznik, którego tak nienawidziłem, złamał to szczęście, które ja tak szanowałem.

Oto dlaczego, panie sędzio, zabiłem kochanka mojej żony.

O drzwi, skórą obite, rozległy się gwałtowne uderzenia, głosy jakieś wołały z zewnątrz:

— Panie sędzio, panie sędzio!

— Co się stało?

— Oskarżonemu udało się odebrać sobie życie w celi.

Sędzia powstał, nakładając kapelusz.

Sprawa jest skończona — rzekł do woźnego.



Legenda.

Żyje od wieków postać dziewicza;
Z jej myślącego oblicza
Takie uroki tchną,
I takie z cudnych ust jej brzmią tony,
Że zasłuchany, wpatrzony
Bezwiednie duszą swą
Biegniesz za ową dziewicą wszędy,
Za tą, co imię nosi *Legendy!*
Powiewną gazą błyszczy u łona;
Na śnieżno-białe ramiona
Jasnych jej włosów zwój
Spływa w promiennych falach kaskadą,
Skroń, jak księżyc jej bladą,
Niby motyli rój,
Wieniec z gwiazd złotych nimbem oplata,
Kształty jej, pełne z mgieł, słoni szata.
Gdy siada u wód na ruin zrębie,
Jak rozpierzchnięte gołębie
W świat puszcza roje słów,
I z wyżyn wznosząc w przestrzeń dłoń białą,
Dzieje, co niegdy się stało,
Z jej tajemniczych mytów wysnute
W pieśniach rozgranych na wielką nutę,
Lub z harfy złotej w królewskiej dłoni,
Gdy hymn wspaniały uroni,
Cały ją słucha świat:
Jak na obłoku białym stojąca
Mgły wieków zmierzchłych roztrąca
Z nad świątyń, zamków, chat,
Swą epopeją, — jak słońce, które
Ciemności nocnych rozprasza chmurę.
Potężna, biało-skrzydła dziewica
Wątkiem swych podań zachwyca
Biały i czarny lud:
Z gór Himalajów, z dolin Iranu

I z pustyń Arabistanu
W powieść zaplata cud,
Przekracza morze i na mogile
Siada w zadumie, gdzie Termopile.
Promienie krzyża niesie z Judei
Aż do północnych zawiei,
Zwiedza prastary Rzym,
Z nad Tybru, Renu, Wisły, Bałtyku
Sznur podań niza bez liku
I w cudny składa rym;
Ten, brylantową pieśnią gdy dźwięczy,
Wiedzie nas w kraje o barwach tęczy.
Dawne ją znają kurchany zbliska,
Siedzib prastarych ogniska;
Ich duchy nęcą ją;
Lecz tam otwiera chętniej wierzeje
I zmarłe wskrzesza znów dzieje,
I harfę stroi swą,
Gdzie znajdzie serca szczere, prostacze,
Z niemi się cieszy, śpiewa i płacze.
Wchodzi pod Kafrów krale poziome,
W palmową pokryte słomę,
Słucha ich wróżb i mów,
Ztąd w lot na fiordy Grenlandzkie bieży,
Gdzie z biegunowych rubieży
Chwyta treść dziwnych słów
Sagi, pod jurtą w śniegach zrodzonej,
Swiatłem północnych zórz spromienionej..
Tak gdy świat zwiedza ta cudna pani,
Glob ziemski mały jest dla niej;
Więc do nadziemskich stref
Wzlatuje w eter, w gwiazd regiony;
Tam z Szklanej góry natchniony
Dla ziemian zsyła śpiew,
Siedmiu gwiazd wzniosłe rozbrzmiewa dzieje;
Wie gdzie zaćmienia smok strachem zieje.
W szlak drogi mlecznej wkracza, zkąd wieści
Bogini Słowian boleści,
Boć z łez jej szlaki te.
U matki słońca z kądzieli złotej
Przędzie cudownych klechd sploty;
Ztąd płynąc w srebrnej mgle,
Księżyca lubej w mórz cichej fali
Szuka na łożu śpiącej z korali.
I tak wciąż żyje postać dziewicza,
Z jej myślącego oblicza
Takie uroki tchną,
Takie z różanych ust jej brzmią tony,
Że zasłuchany, wpatrzony
Bezwiednie duszą swą
Biegniesz za ową dziewicą wszędy,
Za tą, co imię nosi *Legendy!*

Józef Grajnert.



Pojedynek fortepianowy.

(Luźne wspomnienie.)

Liszt był prawdziwym lwem fortepianu. Ale był zarazem człowiekiem. Duma i chęć błyszczenia sprawiały niekiedy wrażenie szarlatanizmu. Lubował się artysta w efektach grubych, a do ich osiągnięcia posługiwał się niekiedy — dowcipem. Wszyscy wielcy artyści, rozmawiając o nim, lubo świadomi tych wad, zwykli nazywać go nauczycielem. Były talenty większe, jaśniejsze, sympatyczniejsze, lecz żaden z nich nie posiadał w równym stopniu tej elektryczności, tego magnetyzmu muzycznego, co roznamiętnia i porywa słuchaczów.

Zdarzało się, iż gra Liszta była suchą, nierówną, a nawet niepoprawną. Miało to jednak miejsce wówczas tylko, gdy był on roztargnionym, lub źle usposobionym, lecz gdy chciał grać, gdy skoncentrowawszy wszystkie swe siły, uderzał akord mistrzowsko, gdy przejąwszy się poematem muzycznym aż do głębi swej istoty duchowej, wyrzucał go, jak proch na olśnionego słuchacza — wtedy wywierał wrażenie, dające się porównać z jednym chyba Paganinim.

Wszak pamiętne są słowa Schumanna: „on błyszczy jak światło, wybucha jak grzmot i zostawia po sobie silny zapach siarki..."

Często i przez długi czas autor „Luźnych wspomnień" słuchał Liszta i Chopina grających, lecz nigdy szermierka tych dwu talentów nie wywarła takiego wrażenia jak w czasie lata 184.. roku.

* * *

W uroczej miejscowości, zwanej „Czarną doliną" znajdowała się willa pani N. Utalentowana i wykształcona gospodyni zaprosiła na letni pobyt w pięknej okolicy kilka znakomitości ze świata artystycznego. Przyjechali więc Chopin, Liszt z p. Arabellą, która następnie pod pseudonimem zajęła wybitne miejsce w literaturze francuzkiej, śpiewaczka Paulina V... znakomity malarz Eugeniusz D... i wielu innych.

Chopin podczas pobytu w „Czarnej dolinie" grywał rzadko; nigdy nie zgodził się siąść do fortepianu, gdy nie czuł się w doskonałem usposobieniu. Natomiast Liszt raczył towarzystwo muzyką, często grając rozmaicie, zależnie od chwilowego humoru.

W piękny wieczór majowy, około północy zebrali się wszyscy w dużym salonie. Przez otwarte szeroko okna, wkradał się do pokoju blask księżyca, śpiew słowika i silny zapach róż i rezedy. Liszt grał nocturne Chopina, zabarwiając go jak zwykle własnemi dodatkami — trelami i pasażami. Po kilku pierwszych taktach na obliczu Chopina odbiło się niezadowolenie, niecierpliwość i nareszcie, nie będąc w stanie dłużej władać sobą, zbliżył się do Liszta i rzekł doń flegmatycznie:

— Jeżeli chcesz, mój kochany, sprawić mi przyjemność, grając moją kompozycyę, to proszę cię, graj tak, jak ona napisaną została: nikt prócz Chopina nie ma prawa zmieniać Chopina.

— Więc graj-że sam! — odrzekł Liszt.

— Chętnie. W tej samej chwili lampa dogasła.

— Nie zapalajcie jej powtórnie — zawołał mistrz; — przeciwnie zgaście wszystkie świece; światło księżyca zupełnie mi wystarcza.

Uderzył w klawisze i... grał, grał całą godzinę. Słowik umilkł, oszołomiony czarem jego poezyi, kwiaty piły dźwięki, spływające z nieba, jakby niebieską rosę, słuchacze w niemym podziwie ledwie oddychali; kiedy zaś czarodziej przestał grać, nie było oczu, w których by nie iskrzyły się łzy. W uniesieniu rzucił się Liszt Chopinowi w ramiona i zawołał:

— Mój luby, miałeś słuszność. Dzieła geniuszu, równego tobie, są święte, grzech je zmieniać. Ty jesteś prawdziwym poetą, ja zaś tylko — kuglarzem.

— Każdy z nas posiada odmienny talent, odpowiedział Fryderyk; nikt nie gra tak Webera i Beethovena jak ty; zagraj więc *Adagio* Beethovena, lecz poważnie, jak umiesz, gdy zechcesz.

List spełnił jego życzenia z całą duszą, otworzył głęboko podniosłe *Adagio.* Wtedy na zebranych dało się zauważyć innego rodzaju wrażenie: Liszt ich porwał, zachwycił, przeraził, lecz nie — rozczulił.

* * *

Chopin, pewny wygranej w tym przypadkowym turnieju, ubolewał, że Liszt może się czuć dotknięty porażką. To spółubolewanie doszło uszu Liszta. Dumny i pyszny, zapragnął zemsty.

W kilka dni później, towarzystwo zebrało się znowu o tej samej godzinie. Liszt nalegał usilnie, by Chopin zagrał, na co się po długiem dopiero zgodził wahaniu. Na prośbę Liszta zgaszono świece i egipskie ciemności zapanowały w pokoju. Chopin chciał już zasiąść do fortepianu, gdy Liszt szepnął mu kilka słów do ucha i zajął jego miejsce.

Twórca „Marsza żałobnego", nie domyślając się zamiarów przyjaciela, spoczął na ubocznym fotelu.

Liszt grał dokładnie wszystkie utwory, które tak uroczo przed kilku dniami wyśpiewał mistrz-twórca. Wykonawca umiał je oddać z tak wspaniałem przystrojeniem się do chopinowskiej tęsknicy, tak mistrzowsko naśladował subtelności wielkiego spółzawodnika, że niemożliwem było rozeznanie różnicy. Rzeczywiście wszyscy grę Liszta, wzięli za grę Chopina. Gdy pierwszy szał minął, zapalił Liszt świece, stojące na fortepianie. Wyraz zdziwienia ogarnął słuchaczów.

— Czy to pan grał?

— Jak państwo widzicie....

— Myśmy przypuszczali, że to był Chopin.

— Co ty powiesz? — spytał Liszt swego rywala.

— Powiem to, co wszyscy mówią — zdaje mi się, że to Chopin grał.

— Widzisz więc — odrzekł wirtuoz, wstawając z krzesła — iż Liszt może być Chopinem, gdy zechce; ale czy mógłby Chopin być Lisztem?

Liszt zwyciężył, lecz Chopin mógł być dumnym, że to on i jego dzieło natchnęło mistrza-wirtuoza do tak genialnego naśladownictwa....

S. N.



Kronika.

Minął tydzień ministeryalny — uspokoili się tutajsi dygnitarze, którzy na spółkę z półtuzinem ministrów smażyli

głowę nad sposobami, jak najskuteczniej podnieść niemczyznę, a raczej jak najsilniej nas przycisnąć, nas, którzy w niczem przeciwko państwu nie wykraczamy. Co i ile ukuto nowych wyjątkowych rozporządzeń trudno dziś wiedzieć, lecz powoli to wyjdzie na jaw. Jeden z tutejszych dygnitarzy opowiadał podobno w pewnem kółku niemieckiem, że ministrowie wymyślą na Polaków takie sposoby, o jakich nam się nie śniło, bo Niemcy chcą pokazać swą siłę.

Mówią też na mieście, że przy pierwszej bytności ministra Miquela w Poznaniu powołano do pana ministra kilku obywateli, ile mi się zdaje dwóch żydów i jednego Niemca. Pan Miquel zasięgał ścisłych informacyi u tych obywateli. Dwóch z nich miało oświadczyć, że do jakichś wyjątkowych praw przeciwko Polakom nie ma żadnej przyczyny, ale zato trzeci — żydek, człowiek bogaty i z tytulikiem, miał polskie niebezpieczeństwo w straszących przedstawić barwach. Pan Miquel bardzo się tem podobno zmartwił, bo sądził, że nie jest tak źle. Postanowił więc w najbliższym czasie tak Niemców w naszych dzielnicach podnieść, abyśmy przy tem podniesieniu całkiem znikli. — Tak mówią na mieście. Tak śpiewają nawet na dachach wróble, które zadowolone z pysznych jesiennych dni, świergotają wesoło i bardzo są rozmowne, a skoro wróble tak mówią — to jest i w tem coś prawdy.

A więc stoimy w przededniu nowej antypolskiej hecy.

Ileż tych hec już nie przeszliśmy! Ileż nie przetrzymaliśmy! Wiecie, kochani przyjaciele, że ta heca nic a nic mię nie zastrasza. Mam to mocne przekonanie, że jest Bóg nad nami, Bóg Piastów, Jagiellonów, Sobieskich, Kościuszków, i ten nam upaść nie pozwoli.

O co chodzi! Chcą nas albo wytępić, albo zamienić w Niemców. Z tępieniem rzecz trudna, bo rzezie ormiańskie chyba u nas niepodobne, jakkolwiek pięść opancerzona wygraża mocno dalekim ludom, a my się silnie mnożymy — a zniemczyć? — Ha! to już jedynie od nas zależy! Niech nikt mi nie mówi, że jest siła ludzka, któraby mi mogła nakazać zapomnieć języka ojczystego. Niech mi nikt nie mówi, że jest siła ludzka, któraby mogła zgnębić w kimkolwiek ducha polskiego!

Lecz rozpolitykowałem się na dobre, i gotowym napisać wstępny artykuł, nie dziw — w tygodniu ministeryalnym atmosfera przesiąkła polityką.

Pomimo ostrych powiewów wiejących z Berlina powietrze u nas łagodne, tak łagodne, że w jednym polskim ogródku fiołki kwitną. Gdyby ministrowie o tem wiedzieli, możeby fiołki zaliczyli do „Reichsfeindów“ i zakazali ich sadzenia w polskich ogródkach. Jakżeż też fiołki mogą kwitnąć w polskim ogródku, kiedy tam u góry chcianoby, aby zamarło u nas wszystko.

Lecz to tylko nawiasem.

Na ważniejszą rzecz chciałbym zwrócić uwagę. W Tarnowie pod Poznaniem zbudowali sobie robotnicy polscy, przy pomocy okolicznych ziemian i kilku dzielnych gospodarzy dom, w którym odbywać się mają i zebrania i zabawy! Taki dom ma sto razy większą wartość, niż wspaniałe kasyno dla urzędników, mające być wybudowane w Poznaniu.

Ten dom polski robotniczy powstał ze znoju i trudu ludu naszego, tamto kasyno powstaje na rozkaz rządu bez przyczynienia się obywatelstwa.

Ów dom jest oznaką siły i żywotności naszego ludu, kasyno zaś świadczyć tylko będzie o tem, że rząd ma pieniądze.

Zacnym gospodarzom i robotnikom tarnowskim i tym wszystkim, którzy się przyczynili do budowy tego domu wyrażam moją cześć. Niech ich przykład zachęci drugich!

Jakąż to dumą musi napełniać każdego z obywateli tarnowskich, gdy spojrzy na dom, wytwór ofiarności, dzielności, zrozumienia położenia i zapału. Tacy obywatele jak w Tarnowie, zniemczyć się nie dadzą — jakem

Gaduła.



kłopotu — tanim groszem — w posiadanie

pokaźnej biblioteki domowej.

Zatem — nieociągać się, tylko czemprędzej 50 fenygów w rękę i — dalej na pocztę!

Dziś, gdy język nasz zewsząd wyparty, gdy dzieciom naszym nawet „Ojcze nasz“ w szkole po niemiecku mówić każą, dziś w każdym domu polskim powinna się znajdować „Czytelnia Polska,“ która sparaliżuje złe i zgubne wpływy germanizatorskie.

„Czytelnia Polska“ przynosić Wam będzie, Czytelnicy, jak dotąd tak i nadal, wszystko co piękne, co dobre, co szlachetne i godne poznania, otwórzcie więc jej serca Wasze, domy Wasze i nie szczędźcie drobnego bardzo wydatku na nią. Abonament wynosi

tylko 50 fen. (w Galicyi 30 centów) na kwartał,

które jaknajprędzej zanieść trzeba na pocztę, gdyż czas największy odnowić przedpłatę na nowy kwartał.

Dwa kompletne kwartalniki „Czytelni Polskiej“ otrzymać mogą nowoprzybyli abonenci za nadesłaniem 1,30 mk.

„Czytelnia Polska“

zapisaną jest na poczcie pod rubryką *t. 13 a 5 Nachtrag.*



Z Poznańskiego bruku.

I.

(Skład krawiecki. Dwa stoły, krzesło, szafy zawieszone garderobą męzką, przytłumiony stukot maszyn, księgi rachunkowe, nożyce, miarki. Majster Igłowski siedzi przy kantorku, pogrążony w dumaniach nad wezwaniem o zapłacenie wekslu i pociera czoło).

Majster Igłowski (wzdychając ciężko): Trzysta marek! Zkąd tu wziąść trzysta marek!...

(Rozlega się dzwonek przy drzwiach wchodowych, wbiega młody czeladnik).

Majster Igłowski: Jesteś! Ciebie po śmierć posłać! No, no!... Jakże?!...

Czeladnik: Mam!... jest!... Pan Skrobicki dał pięć mrk!!...

M. Igłowski (gorączkowo): Co?.... jak?!...

Czeladnik: Ano... radcy Dutkowskiego nie zastałem w domu, pan Miłecki kazał się kłaniać i powiedział, że sam będzie, pan Buchalterowicz mówił, że surdut, który wziął pół roku temu, ciśnie go pod pachami, więc nie zapłaci, doktor Trucicielski jest jeszcze u wód, do Kancelistowskiego nie mogłem się dodzwonić, a Golikowski wręcz oświadcza, że nie ma pieniędzy i że może go pan skarżyć! Jeden Skrobicki dał...

M. Igłowski (rozpaczliwie): Ładna historya!... Czwarta wysyłka z rachunkiem... i nic!!... Dwa tysiące mrk. na ludziach... a tu ani stu mk. wydostać nie można!... Jutro weksel!... Protest!... Nie— tak być nie może!... Wołaj mi zastępcę.

(Czeladnik znika za zieloną zasłoną w głębi składu, po chwili ukazuje się pierwszy czeladnik czyli zastępca.)

M. Igłowski: Panie Krajkowski! Racz mnie zastąpić... lecę na miasto... muszę szukać pieniędzy. Do czarta, przecież kredytu chyba mi udzielą nie tu, to owdzie!

(Krajkowski kiwa machinalnie głową. Igłowski wybiega na miasto.)

II.

(Kasa wzajemnych pożyczek. Biura, biurka, baryery, pismosuszki, kałamarze, urzędnicy, woźni, scyzoryki, paznogcie. Majster Igłowski wchodzi zdyszany).

M. Igłowski: Czy mógłbym prosić o udzielenie mi trzystu mrk. kredytu?!...

(Cisza. Zegar wybija swoje tik-tak. Ktoś temperuje ołówek).

Głos z kąta; W drugim pokoju!...

(Igłowski przechodzi do drugiego pokoju).

M. Igłowski: Czy mógłbym prosić o udzielenie mi kredytu?!...

Głos basowy: Do pana prezesa, pierwsze drzwi na lewo...

(Igłowski idzie do pana prezesa. Gabinet, zielone sukno, okulary, duża gazeta.)

M. Igłowski (nieśmiało): Czy mógłbym prosić o udzielenie mi trzystu mrk. kredytu, jestem krawiec, mam warsztat i skład własny...

Prezes (notując). Imię pańskie i nazwisko?

M. Igłowski: Barnaba Igłowski do usług.

Prezes. Jakiż to pan chce kredyt mieć?!... Na zastaw papierów publicznych... czy na wkład?...

Igłowski (zakłopotany): Właściwie to taki tylko, któryby mi pozwolił zapłacić jutro weksel...

Prezes: Nie rozumiemy się! Masz pan akcye, listy zastawne, pożyczki premiowe?!...

Igłowski. Cóż znowu! Czyżbym przyszedł po trzysta mrk.!...

Prezes: No, to nie mamy o czem mówić! Nasza kasa udziela kredytu, ale albo do wysokości wkładu, to znaczy, że jak pan nam złożysz 300 mrk. to my panu 300 mrk. pożyczymy, licząc naturalnie od złożonych pieniędzy 4%, a od pożyczonych 8%, albo na zastaw papierów! W rezultacie nawet... niech pan przedstawi dwóch poręczycieli... znanych, solidnych... to także może pan dostać...

M. Igłowski: A na weksel?

Prezes: Weksel? Pański weksel? Hm!... Jak będzie żyro solidnej firmy... Kto wie! Chociaż my wolimy podkład pewnych hipotek lub wartościowych papierów...

M. Igłowski: Panie Prezesie, bój się pan Boga, gdybym miał hipoteki, albo zgoła wartościowe papiery, natenczas nie potrzebowałbym pomocy banku!...

Prezes: Ano, prawie że ma pan racyę, lecz trudno, mamy tu ważniejsze sprawy, udaj się pan do Towarzystwa bratniej pomocy.

(Prezes rozkłada gazetę. Igłowski wybiega na ulicę.)

III.

(Towarzystwo bratniej pomocy. Biura, biurka, baryery, klatki, pismosuszki, kałamarze, urzędnicy, posłańcy, scyzoryki, paznogcie. Majster Igłowski wchodzi zdyszany).

Woźny pod ścianą: Czego pan sobie życzy?

Igłowski: Czy mógłbym prosić o udzielenie mi kredytu?...

Woźny: Niech pan idzie tu, w te drzwi, do pana radcy, to zaraz zobaczymy!

(Gabinet, zielone sukno, okulary, duża gazeta).

Igłowski (z pokorą): Czy mógłbym prosić o udzielenie mi trzystu marek kredytu, jestem krawiec, mam warsztat i skład własny, nazywam się Barnaba Igłowski... (Radca zamyśla się, Igłowski mówi pospiesznie:) Idzie mi o kredyt osobisty... wkładów nie mam, papierów procentowych także...

Radca (powoli): Hm! Mój panie! Kredyt osobisty to jest osobisty kredyt!!... Chociaż my z zasady pomagamy przemysłowi wszelkiemu... wszakże... Niech pan złoży podanie! Zobaczymy! Pośle się do pana kogoś na sprawdzenie... da pan poręczycieli, kogoś znanego... Mogą być poważni właściciele domów, lub solidni przemysłowcy... W sobotę będzie sesya... otrzyma pan odpowiedź.

Igłowski: Ależ ja jutro mam płacić weksel!... Pieniądze są mi na jutro potrzebne, inaczej jestem zmarnowany...

Radca (ze współczuciem): No i cóż, drogi panie Igiełkiewicz, poradzić na to mogę? Taki porządek jest!... Tylko wielkie firmy mają przywilej! O co idzie, niech pański weksel podpisze jaki Geldmacher lub Chlebkiewicz, a damy nie trzysta, ale trzydzieści tysięcy!...

Igłowski (któremu błysnęła nowa myśl): A czy w sobotę mogę mieć nadzieję?...

Radca: Kochany panie Igielnicki, to zależy od poręczycieli... bo choć niby się panu kredyt przyznaje i pan musi nam przedstawić ewikcyę... ale wszystko na poręczycielach się opiera... Ale niech się pan uda do Oszczędnościowej korporacyi, tam, o ile wiem udzielają drobnego kredytu.

(Radca rozkłada gazetę. Igłowski kłania się i wybiega na ulicę).

IV.

(Oszczędnościowa korporacya. Biura, biurka, baryery, klatki, pismosuszki, kałamarze, urzędnicy, posłańcy, scyzoryki, paznogcie. Majster Igłowski wbiega zadyszany.)

Igłowski: Czy mógłbym prosić o udzielenie mi kredytu?...

Członek zarządu (z głębi): Proszę bliżej, proszę!!... (Igłowski idzie za dźwiękiem głosu).

Członek zarządu: Pan potrzebujesz kredytu?...

Igłowski (rozpromieniony): Tak jest! Trzystu mk.! Pan będziesz łaskaw. Krawiec jestem! Dziewięć lat prowadzę warsztat i skład. Towaru mam na składzie za parę tysięcy... odpowiedzialny jestem!

Członek zarządu: Bardzo mi przyjemnie. Otóż pan może mieć u nas i kredyt osobisty! Tak! Jeżeli pan złożysz 50 mk. to my panu na pański podpis pożyczymy zaraz.. 75 mk.!!... Nadto... w razie przedstawienia dwóch dobrych poręczycieli damy panu i więcej. Manipulacya jest prosta... Robi pan podanie, sprawdzamy jego odpowiedzialność majątkową, później jego poręczycieli... w końcu przychodzi sesya i otrzymuje pan odpowiedź najpóźniej w ośmiu dniach...

Igłowski (z rozpaczą): Panie naczelniku, jutro mam płatny weksel! Nóż na gardle!... Gdzie ja tu poręczycieli znajdę! Sam ręczyć nie chcę, bom dużo razy zapłacił. Kogo tu prosić? Zobaczcie moje książki, mój warsztat, skład... Trzysta mk. nie majątek!...

Członek zarządu (zakłopotany): Kochany panie! Inaczej nie można! Paragrafy! Ustawy!!... Przepisy!!...

Igłowski: Kiedy bo ja nie potrzebuję na długo! Choćby na kilka tygodni! Obstalunków jest, dzięki Bogu dość... Pan naczelnik będzie łaskaw!

Członek zarządu: Hm! Trudno! Ale niech się pan uda do Filantropijnego stowarzyszenia drobnych pożyczek... tam mogą dać!

(Członek zarządu zwraca się do innego interesanta — Igłowski wybiega na ulicę).

V.

(Filantropijne stowarzyszenie drobnych pożyczek. Jedno biurko, jedna baryerka, jeden kałamarz, jeden urzędnik, jeden posłaniec.)

Igłowski (wbiega zdyszany): Czy mógłbym prosić o udzielenie mi kredytu?

Jeden urzędnik (podając zadrukowany papier:) Proszę?

Igłowski (zaambarasowany:) Przepraszam pana dobrodzieja, co mam z tem zrobić!...

Jeden urzędnik (zimno): Stoi napisane na drzwiach.

Igłowski zbliża się ku drzwiom i czyta:

„Podania o pożyczki przyjmuje się we wtorek, od godziny 5 do 6 po południu“ (mówi), więc dziś, proszę pana dobrodzieja, mógłbym złożyć podanie.

Jeden urzędnik (lodowato): Dwóch poręczycieli jest??!!

(Igłowski blednie, odwraca się plecami i wybiega na ulicę).

VI.

(Skład krawiecki, dwa stoły, krzesło etc. Zastępca siedzi apatycznie zamyślony. Rozlega się dzwonek przy drzwiach, wbiega Igłowski.)

Igłowski (wzburzony): Panie zastępco, był kto? Dzisiaj miał Klaputkiewicz zapłacić? Miał Obiecalski przynieść ratę...

Zastępca: Owszem! Obiecalski był... bo potrzebuje nowego garnituru na wypłatę... ale co do pieniędzy to nie widziałem...

Igłowski: Proszę zawołać Józia! (Zastępca wychodzi — w drzwiach ukazuje się „Józio“).

Igłowski: Wiesz gdzie mieszka Kwasigrosz... Skocz do niego i powiedz, żeby przyszedł...

(Znika z kolei Józio. Igłowski po raz dziesiąty sprawdza, że w kasie ma piętnaście mk. z fenygami i że weksel jest płatny najakuratniej, włącznie z dniem ulgowym, jutro. Gdy do tej samej czynności zabiera się po raz jedenasty, ukazuje się w progu smagła twarz pana Kwasigrosza).

Igłowski: Kochany panie Kwasigrosz, potrzebuję nagwałt 300 marek! Nóż panie na gardle!... Gwałt!... „Kort i Spółka“ za towar panie... wzięli weksel... Trzeba płacić!...

Kwasigrosz: Trzysta marek?!... Suma! Duża suma! Grosz ciężki teraz! Wie pan, ile dyskonto w Berlinie?...

Igłowski: Nie wiem! No, nie marudź Kwasigroszku kochany! Nie opowiadaj dużo, tylko daj...

Kwasigrosz: A co pan da?...

Igłowski: No... półtora! Słowo... półtora!...

Kwasigrosz: Trzy!!...

Igłowski (z determinacyą): Okropność (n. str) Oddam za miesiąc! (głośno) Niech będzie, byle kłopot zbyć z głowy...

Kwasigrosz (żałując, że nie powiedział cztery): Procent z góry dopisany do sumy za trzy miesiące...

Igłowski: No, dawaj tylko! Dawaj!

Kwasigrosz: Dla pana Igłowskiego ostatni grosz oddaję!! Wszystko oddam.

(Kwasigrosz wyciąga weksel — wypisuje 408 marek — a daje Igłowskiemu 300 marek i wychodzi. Majster oddycha swobodniej... Tymczasem, jego weksel w godzinę... jest już zdyskontowany przez dom bankowy Hirszberg, Wolff i Ska, a w dwie godziny spoczywa w wielkim portfelu „Reichsbanku.“ Tego samego dnia „Kasa wzajemnych pożyczek“ odbiera podanie Izydora Kwasigrosza o pożyczkę marek 1,000, „Towarzystwo pomocy bratniej“ o 2,000 marek, „Oszczędnościowa korporacya“ o 3,000 marek, a nawet „Filantropia drobnych pożyczek“ o 250 marek. Ponieważ pan Kwasigrosz przedstawił każdorazowo podpisy solidnych poręczycieli, więc pożyczki udzielone mu będą. W godzinę później jeden z młodych ekonomistów zabiera się do napisania pięknego artykułu, zaczynającego się od słów: „Rozwój naszych istytucyi kredytowych...)

Prawdzic...

Wiadomości.

Dwieście lat ubiegło w dniu 30-go z. m. od chwili, w której się urodził ś. p. Stanisław Konarski, Pijar, jeden z najznakomitszych mężów polskich, wielki reformator na drodze wychowania szkolnego. Artykuł odnośny zmuszeni byliśmy dla braku miejsca odłożyć do następnego numeru.

Dyrektor Ryger, zaproszony przez Radę miasta Lwowa na uroczystość otwarcia nowego teatru, wziął w dniu 4-go b. m. udział w inauguracyi wspaniałego przybytku sztuki, oraz zawiązał stosunki z autorami i artystami lwowskimi.

Z teatru. W sobotę dn. 6-go b. m. „Jacuś“, komedya w 4 aktach Edwarda Lubowskiego. Utwory Lubowskiego zajmują poczesne miejsce w literaturze dramatycznej polskiej, a sobotnia premiera jest tak ze względu na treść jak i tendencyą, wreszcie wzorowe opracowanie sceniczne, znakomita.

W niedzielę, dnia 7-go b. m. wieczorem powtórka sobotniej sztuki.

W niedzielę po południu o godzinie 3-ej po cenach do połowy zniżonych sztuka ludowa ze śpiewami i tańcami w 4-ech aktach p. t. „Dla świętej ziemi.“

Na odbudowanie wieży na Jasnej Górze nadesłali w dalszym ciągu pp. Wiktorya Parkosz ze Stanisławowa (Galicya) 4 korony czyli po zamianie 3,35 mk., Konrad Bełza 40 fen i Antoni Łasiota 40 fen., obaj ze Starego Sambora (Galicya), z Unrugów Potworowska z Czerteża per Żurawno (Galicya) 8,45 mk., Juliusz Kopiec z Myślic (Górny Szląsk 1 mk., A. Łucka ze Stanisławowa (Galicya) 9 mrk. 30 fen. Razem złożono dotąd na ten cel 68 mk, 78 fen.

Dalsze datki chętnie przyjmujemy.

Na zakupno elementarzy dla biednych dzieci nadesłała w dalszym ciągu pani z Unrugów Potworowska z Czerteża per Żurawno (Galicya) 1,70 mk. Razem złożono dotąd na ten cel 29 mk. 83 fen. Dalsze datki chętnie przyjmujemy.

Na fundusz jubileuszowy dla Józefa Chociszewskiego w Gnieźnie złożyła w dalszym ciągu pani z Unrugów Potworowska z Czerteża per Żurawno (Galicya) 1,70 mk.

Razem złożono 152 mk. 43 fen. Dalsze datki na ten cel chętnie przyjmujemy.

Zwracamy uwagę Czytelnikom na inserat stale zamieszczany p. Ruszczyńskiego w Żninie, polecającego swój zakład zegarmistrzowsko-złotniczy, zaopatrzony w wielki wybór towarów w zakres ten wchodzących. Ceny są rzetelne i tanie, jak wskazuje odnośny anons. Wymienianie towarów dozwolone.

Wszelkie rejestra gospodarcze ma na składzie obok swej nowo otworzonej księgarni w Pr. Starogrodzie (Pr. Zachodnie) p. J. W. Nowak. Na odnośny inserat zwracamy baczną uwagę panom ziemianom.

Hotel dobrze prosperujący jest do nabycia pod korzystnemi warunkami od nierodaka w mieście powiatowem, w którem się wyższa szkoła agronomiczna znajduje. Bliższe informacye poda Ekspedycya „Pracy“ na listy frankowane pod znakiem S. 55.

Pan Antoni Bociański przeniósł od lat kilku istniejący skład piwa w mieście naszem z placu Wilhelmowskiego na ulicę Rycerską nr. 3. Skład pana Bociańskiego polecamy względom szanownych Czytelników Poznania i okolicy.

Na inserat „Justitia“ zwracamy baczną uwagę Czytelnikom. Właścicielem biura jest znany i szanowany obywatel naszego miasta, weteran z roku 1863-go, p. J. N. Szulc.

Pan A. Dzieciuchowicz, fabrykant powozów w Poznaniu, przy ulicy Wrocławskiej nr. 15-y, poleca powozy wszelkiej konstrukcyi, oraz uskutecznia wszelkie w zakres ten wchodzące reparacye (patrz inserat).

Okólnik. Byłych stypendyatów, którzy otrzymali okólnik nasz z dnia 23 czerwca b. r., lecz nań dotychczas nie odpowiedzieli, jak niemniej i tych Panów, którzy dla braku dokładnego adresu przy wysyłce okólnika byli pominięci, upraszamy niniejszem uprzejmie, aby w myśl powyższego pisma naszego zechcieli przyczynić się do pomnożenia funduszów Towarzystwa w setną rocznicę urodzin ś. p. jego założyciela.

Dyrekcya
Towarzystwa Pomocy Naukowej imienia Karola Marcinkowskiego dla młodzieży W. Ks. Poznańskiego.

Strzelno. Dnia 22 z. m. odbył się w Dramburgu egzamin abituryencki, do którego się czterech prymanerów zgłosiło, jeden Niemiec, a trzech Polaków. Wszyscy egzamin złożyli, pomiędzy nimi także pan Kazimierz Bukalski, rodak nasz z Strzelna.

Ostrów, w wrześniu. W tych dniach złożył w Hörter (Magd. a. Wezer) na szkole budowlanej egzamin na budowniczego z predykatem „bardzo dobrze“ pan Jan Pawlicki, rodem z Raszkowa.

Młodemu przemysłowcowi „Szczęść Boże“.

Kostrzyn, dnia 30. 9. Szanownej Redakcyi donoszę uprzejmie, iż p. A. Urbanowski sprzedał resztę swojej posiadłości w Kostrzynie i jak wszystką ziemię i zabudowania gospodarcze rozprzedał tylko pomiędzy swoich, tak i teraz najgłówniejsze dwa domy piętrowe w miasteczku naszem na naczelnem miejscu położone, przeszły w ręce swoich. I tak dom pierwszy z destylacyą wódek i wyszynkiem narożny w rynku nabył kupiec p. Klemens Wróblewski za 36,000 mk., drugi obok pierwszego również w rynku kupił pan Michał Woźny

za 22000 mk., w którym już od kwietnia r. b. prowadzi handel bławatny z bardzo dobrem powodzeniem. Jest więc nadzieja i pewność, że pierwszy polski handel bławatny w miasteczku naszem na takiem naczelnem miejscu egzystować i dobrze prosperować będzie i wytrzyma tutejszą konkurencyą żydowską, zwłaszcza, że pan Woźny od samego początku przez zaprowadzenie stałych, rzetelnych cen i przez dobry i rzetelny towar, jako i przez pilność i uprzejmość swoją potrafił sobie w krótkim czasie zjednać wielu odbiorców nie tylko swoich, ale i obcych. Urządzenie zaś handlu, jako i towary mogą i wybrednych zupełnie zadowolić. Spodziewać się należy, że i miasto i okolica z każdym dniem coraz bardziej popierać go będą.

Katowice, dnia 26. 9. 00.

Gród Katowicki zasyła szanownej Redakcyi „Pracy“ słowa pozdrowienia „Czołem“! Oby usiłowania i rzetelna praca błogie owoce przyniosła. W małem towarzystwie się bawiąc ślemy tak zacnemu i zasłużonemu pismu jak „Praca“ miłe pozdrowienie. Jeszcze raz najpokorniejsze słowa uznania wyrażają niżej podpisani. „Czołem“.

A. Nagler, A. Idżkowski, S. Szmytkowski (Poznań). W. Jarantowski, I. Konarski, S. Wittmannn, B. Podwojski, W Kużaj, Henryk Perzyński, Stan. Cichocki, E. Siuchminski.

(Dziękujemy najserdeczniej za pozdrowienie i za wyrazy uznania dla „Pracy“. „Czołem“! Przyp. Red.)

Slub. Dnia 27 z. m. pobłogosławionym został w parafialnym kościele w Ludziskach związek małżeński pomiędzy p. Janem Brzeskim, dziedzicem Radłówka, synem ś. p. posła Franciszka i Zofii z Parzelskich, a p. Janiną Grabską z Kruszy, córką p. Maryana i ś. p. Heleny z Broniszów Grabskich. Obrządku ślubnego dopełnił przy udziale księdza prałata Ponińskiego z Kościelca ks. dziekan Bobowski z Ludzisk, który serdecznemi słowy przemówił do młodożeńców. Wśród telegramów z życzeniami dla młodej pary, których było kilkaset, znajdowało się błogosławieństwo ks. Arcypasterza Stablewskiego i ks. Biskupa Andrzejewicza.

Szczęść Boże młodej parze!

Od Redakcyi.

Panu Edmundowi K. w Opalenicy. Zaabonuj Pan na miejscowej poczcie, a Pańscy abonenci mogą odbierać „Pracę“ u Pana w domu. Na tak małą liczbę nie opłaci się zakładać agentury.

Panu Antoniemu Ł. w Obernyk.. Zamieścimy, ale później.

Panu Wilhelmowi Z. w Złoczowie (Galicya) Zamieściliśmy w jak najlepszej wierze, nie znając tamtejszych stosunków. Sprostowanie chętnie zamieścimy, ale prosimy o nie we formie innej, przyzwoitej. Sprawa osobista Pana i p. W. S. nic nas nie obchodzi.

Panu Józefowi Biegale. Pseudonimów nie uwzględniamy, więc do kosza!

Czytelnikowi K. z Wrzesinskiego. Dziękujemy bardzo za łaskawą pamięć, ale powtarzać nie chcemy tego, co już inne gazety zamieściły, więc użytku z Jego artykuliku tym razem zrobić nie możemy.

Wojtkowi z nad Obry. Nadesłanych nam notatek bez podpisu nie zamieszczamy.

Panu K. w C. Księgarnia polska Templowicza w Poznaniu (hotel francuzki.)

Panu Andrzejowi C. w Gdańsku. Taką książeczkę nabyć Pan możesz w księgarni nakładowej Fr. Chocieszyńskiego w Poznaniu, ulica Wodna 15.

Panu W. K. w K. (Galicya.) Za wyrazy uznania dla naszego pisma najuprzejmiej dziękujemy. [redacted]

Do Krotoszyna. „Sokołowi“ tamtejszemu w odpowiedzi, że wydanie numeru „Sokolskiego“ nastąpiło z naszej własnej inicyatywy. Już po odbytym zlocie fotografie zebrane podług spisu zeszłego rocznika sokolskiego dostarczyli nam fotografiści odnośnych miast. Nikt się więc fotografiami nam nie narzucał, a interesowani dowiedzieli się dopiero o tem z „Pracy“, żeśmy ich portrety zamieścili.

Panu M. O. w Poznaniu. Serdecznie dziękujemy i prosimy o łaskawą pamięć na przyszłość.

Panu A. Tomaszewskiemu, Jaworzno (Galicya,) Dotychczas żadnego listu nie odebraliśmy, nie wiemy które numera wysłać mamy.

Panu Stefanowi N. w Poznaniu. Sprawa ta należy do działu anonsów, przyślij Pan 1,50 mk. do Administracyi „Pracy“, a zamieścimy.

Pani Bernardzie S. w Bagatelce. Zdaje się nam, że nie istnieje. W każdym razie da Pani dokładną informacyę księgarnia Leitgebra w Poznaniu.

Humorystyka.



Wspaniałomyślność.

Rzecz się dzieje w biurze zarządu tramwajowego.

— Panie dyrektorze przyszedłem prosić o podwyżkę pensyi: służę tyle lat, dzieci przybywa coraz więcej...

— Mój panie, czy to moja wina?

— Wydatki coraz większe...

— Trzeba się ograniczać, bierz pan przykład ze mnie: żonę i dzieci zamiast za granicę, wysłałem w tym roku na letnie mieszkanie...

— Więc, proszę pana dyrektora, czyby nie można co dołożyć jeszcze...

— Dołożyć... A tak dołożymy starań o przedłużenie kilku dawnych i zbudowanie kilku nowych linij.

Za wszelkie reklamy i ogłoszenia odpowiedzialnym jest administrator „Pracy“ **Wincenty Szmytkowski.**

Do dzisiejszego numeru „Pracy“ załączamy przekazy na pieniężną loteryą Miśnieńską, dotyczącą budowy tumu.